№ 2 WARSZAWA d. 29 Grudnia (10 Stycznia) ROKU 1874



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; —W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

DOLA I NIEDOLA.

PRZEZ

Teofila Lenartowicza.

Na szare nasze, na zamglone pola,
Siadły dwie siostry, Dola i Niedola;
Obie tak piękne, że w spotkania chwili
Łatwo przychodzień w wyborze się zmyli.
Jagody pierwszej, to poranne zorze,
Drugiej to zorze o cichym wieczorze,
Jedna i druga ściąga ludzkie oko
Ciszą serdeczną, zadumą głęboką,
I pod zasłoną królewskiej purpury
Sam nie wiesz rękę podać siostrze której.
I rzekła pierwsza: Matko wiejskich dzieci!
Na twojem dziecku uśmiech mój się świeci.
To ja prowadzę pierwsze jego kroki,
To ja olśniewam te dziecięce wzroki;
Ja mu przynoszę radość w każdem tchnieniu
Podrzuty szczęsne w matczynem ramieniu;
Ja mu otwieram wszystkie skarbów skrzynie
W wietrze co wieje, we wodzie co płynie,
W kwiecie co dysze wonnością mięszaną,
Miłością kwiatów wzdychających rano.
Ja dla tej nowo rozbudzonej duszki
Na drobne listki pędzę złote muszki;
Ja mu z błądzącym puchem gwarzyć każę,
Który roznoszą wiatry po obszarze;
Ja go usypiam, przechodząc przez ciebie
W noc pochyloną przy dziecka kolebie,
I z twej miłości, w wyobraźni sennej
Wytwarzam uśmiech ów pierwszy, promienny,
Co w twoich oczach drży taki łudzący,
Że chcesz się modlić do dzieciny śpiącej,
I że ci radość wskroś serce podnasza....

—A ja, Niedola pocznie prawić smętna,
Myśl naprowadzam co wstrzymuje tętna,
I w uniesieniu najwyższem przestrasza
Przypominając, że to łez naczynie,
Z którego postać kiedyś w zwyż popłynie,
W szacie jak eter niebieski po niebie,
Zwierzona tobie—ale nie dla ciebie;
I twe uczucie, w słusznej dzierżąc mierze
Zamieniam radość na ciche pacierze....

—Gdy ta skończyła, druga ciągnie tony:
Ja wianek wiję młodej narzeczonej,
I z nią zanurzam się w morzu bez myśli,
W szczęściu, którego słowo nie określi;
W tem osłupieniu jakie radość dawa...
—A ja wnet wieczne przypominam prawa,
I cel niewiasty stawiając wysoki,
Zapływam łzami rozjaśnione wzroki....

—Ja niosę chwałę twemu Matko synu,
Blaskiem geniuszu wyróżniam od gminu,
Liściem wawrzynu otaczam mu skronie,
I na harf strunach nieśmiertelność dzwonię.

—A ja w te struny ostry cierń zaplatam,
I wzniesionego z gminu z gminem bratam,
Złością go ludzką dotykam potwornie,
Aż westchnie rzewnie i spojrzy pokornie.

—Ja wznoszę państwa, ja władzę rozdzielam,
Wieżami zamków pod niebiosa strzelam,
Magnatskie rody wynoszę z motłochu...

—A ja, o siostro! wracam proch do prochu,
I po ruinach, w miesięczną pogodę,
Wzrok zadumany w nieskończoność wiodę,
I festonami bluszczów co z nich wiszą,
Dróg Bożych uczę zadumą i ciszą.

—Ja wojny, trudy, ja długie łzy kończę,
Rozdzielam, bronię...—A ja, siostro, łączę,
I za nagrodę, po stracie wesela,
Łagodzę smutek łzami przyjaciela.

—Ja słodycz leję co tak sercu miła.
—A ja, tę gorycz w której leży siła.
—Jam jest nektarem, ja wam rany bliźnię.
—A jam jest ducha tryumfem w truciźnie,
Jam jest muzyką co wzywa na tany.
—A ja melodją, której czar nieznany
Pociąga ucho choć rani i boli....
I którejż słuchać, Doli czy Niedoli?

A na to anioł wznosząc skrzydeł dwoje,
Z gwiazd oceanu puszcza pieśni zdroje,
I niknąć każe tak jednej jak drugiej,
I śpiewa w pieśni jako wieczność długiej,
We słowie znanem od świata początku,
Zdrowem jak powiew, jak pokarm dzieciątku:
—Zgódź się na jedno, że mądre to prawo,
Co tworzy dolę szczęśliwą czy łzawą,
I wagę trzyma, i trwać wciąż nie daje
Światłu co chodzi i światłu co wstaje.

Florencya, 25 listopada 1873 r.

JÓZEFA POLANOWSKA.

ur. 1770 um. 1829 r.

Każdy perjod czasu, jakkolwiek pomawiany o wsteczność i bezczynność, w sprawie dobra i światła, zawsze ma pracowników, którzy przędą w ukryciu tę duchową nitkę Arjadny, prowadzącą ludzkość przez labirynt życia. Im nastrój ogólny mniej sprzyja tem indywidualnem usiłowaniom, tem praca staje się cięższą a zasługa większą. Że zaś nie brakło nam nigdy na podobnych ofiarnikach, mamy tego liczne dowody w tym ogromie zapisów funduszowych, mogących się liczyć na miliony. Tylko, że wszystkie niemal zapisy na cele dobroczynne i elementarno-naukowe, połączone były z wotami religijnemi i miały główny tytuł ofiar na duchowieństwo. Lecz kto miał zręczność obeznać się z większą ilością dokumentów erekcyjnych, albo oddzielnych zapisów na klasztory lub kościoły

parafialne, ten może poświadczyć, że przy każdéj niemal donacji stawiany jest warunek utrzymywania szpitala dla chorych, ochrony dla starców, lub szkółki. Że cele dobroczynne i naukowe poddawały się powadze duchowieństwa, to się tłomaczy pojęciami i charakterem czasu, ale poczucie obu tych potrzeb i ciągły kierunek do możebnego ich załatwienia, zawsze cechował nasz ogół, niesłusznie dziś potępiony pod tym jak i pod innemi względami przez licznych mniemanych mędrków i filantropów. Na poparcie mego twierdzenia korzystam z bezimiennego rękopisu, kreślonego mniej wprawnem piórem, ale z widoczną sumiennością i znajomością przedmiotu. Autorka tego pamiętnika zawdzięczała opiekę w dzieciństwie i wychowanie śp. Polanowskiéj nie zrywając i późniéj stosunków ze swoją dobrodziejką. Znała więc dobrze jéj żywot i warunki, pośród których rozwijała swoją działalność.

Śp. Józefa Polanowska, córka Jana i Joanny z Woroniczów Polanowskich, starostwa pomorskich, urodziła się wr. 1770. Wychowała się w dzieciństwie u ciotki swojéj Jenerałowéj Jabłonowskiéj, *secundo voto* Łosiowéj, posród dostatków i pieszczot bezdzietnej krewnéj. Oddana późniéj do Lwowa na pensję, powróciła dorosłą panną do rodziców, zamieszkałych we wsi Łukowie na Wołyniu. Tu uległa silnemu moralnemu wpływowi starszej wiekiem bawiącéj w domu jéj rodziców, panny Anny Małyńskiéj. Obie razem oddawały się pełnieniu dobrych uczynków, wyszukując chorych i cierpiących i niosąc im pomoc i ulgę. Pomimo licznych starających się o jéj rękę, unikała wyjścia za mąż. Podczas długiej, bo kilkunastomiesięcznéj chorobie panny Małyńskiéj, Józefa pilnowała jéj nieodstępnie, a śmierć przyjaciółki, zdecydowała jéj postanowienie poświęcenia się na stałą usługę cierpiącej ludzkości.

Ojciec był temu przeciwny; jako posłuszna córka poddała się jego woli, niezaniechawszy jednak zamiaru. Po roku zwierzyła się ze swoją intencją ks. Janowi Bożydar Podhorodeńskiemu, oficiałowi Łuckiemu prosząc go o wpływ na ojca. Ten, pomimo współczucia dla jéj wokacji, przestrzegał, żeby nie przedsiębrała ostatecznego kroku bez woli rodziców. Nie omieszkał jednak przełożyć prośbę Józefy ojcu, który w końcu, chociaż nie zgodził się żeby przywdziała suknie zakonne, pozwolił jednak na czasowy jéj pobyt w Łucku i oddawać się uczynkom miłosierdzia. Miał to był czas jéj próby.

Ks. Podhorodeński, sprawujący wówczas najwyższy zarząd duchowieństwa w Łucku, oddał pod rozporządzenie śp. Polanowskiéj nieco opustoszały dom, należący do katedry—i na pierwszą ofiarę dwanaście dukatów, na łóżka dla chorych przy instrukcji pełnej miłości bliźniego i wiary w Opatrzność.

Zaledwie dom był zajęty i łóżka wniesione, zjawiła się pierwsza chora... gdy nie było jeszcze pościeli. Sama więc fundatorka poszła z kwestą po mieście—i natychmiast zniesiono całkowitą pościel. Przy pomocy dwóch najętych służących, krzątała się około chorych i kuchni a zajęcia nie brakło, bo we trzy dni, wszystkie łóżka były zajęte. Pani Wojewodzina Ledóchowska, pierwsza zaopatrzyła szpital w zapasy spiżarniane. Poczem panna Polanowska, ulegając woli ojca, wróciła do domu, odwiedzając swój zakład co tydzień i objeżdżając okolicę dla jałmużny. Pośród tych wycieczek, ojciec przywykał powoli do nieobecności córki, i gdy doszła do dwudziestu czterech lat życia, (w r. 1794) zgodził się, żeby stanęła na czele zakładu, który oprócz szpitala miał objąć i inne gałęzie opieki społecznej.

Zetknąwszy się z nędzą, przekonała się, ilu klęsk bywa powodem brak moralności i ukształcenia. Postanowiła więc założyć szkółkę dla biednych dziewcząt. Jakoż niebawem myśl swoją w czyn zamieniła. Znalazł się przytułek i nauczyciele. Biedne opuszczone sieroty, miały zarazem schronienie i szatę, a przychodzące dziewczęta—córki rzemieślników i wyrobników, uczyły się bezpłatnie. Nauka składała się z czytania, pisania, katechizmu, arytmetyki i robót kobiecych.

Zakład ten znakomicie potem się rozwinął. Wołyń nie miał wówczas żadnéj żeńskiéj szkoły, a najbliższa była we Lwowie. Wyższy kurs wykładów rozpoczął się najprzód dla pięciu panienek, córek zubożałych rodziców. Późniéj przybyło więcéj za umiarkowaną opłatę. Panna Polanowska jednak nie robiła żadnej różnicy, między bogatemi i biednemi, owszem często te ostatnie były wybranemi dziećmi jéj serca.

Zwiększony krąg działania w szpitalu i w szkółce jakoteż większe wpływy pieniężne ze składek i za naukę panienek, potrzebowały prokuratora. Pierwszym z nich był Ignacy Mioduszewski, po jego śmierci (w r. 1808) Marcin Bossakowski, a po nim od r. 1815 Marcin Krzyżanowski, za prokuratorstwa którego przypadła śmierć założycielki.

Szpitalowi nieśli kolejno usługi bezpłatnie miejscowi lekarze: Wykisały, Pethejder i Pasiewicz, a nawet sławny Lernet z Dubna. Księżna Jabłonowska starościna kowelska opłacała aptekę.

W wyższych zaś kursach szkółki, gdzie oprócz innych nauk, wykładał się język francuzki i muzyka, uczyli po większej części bezpłatnie: ks. Bossakowski, ks. Madrotte — późniéj pp. Vossant, Żachowicz i inni nauczyciele męzkiej szkoły w Łucku.

Obok jednorazowych ofiar od ludzi klass wszelkich, zamożni okoliczni obywatele nie szczędzili znaczniejszych zasiłków. Ignacy Karnicki dał pierwszy przykład, zapisując 10,000 złotych. Hr. Moszyński, corocznie do śmierci dawał po 2000 złotych. Księżna Dominikowa z Mniszchów Radziwiłłowa ciągle i hojnie zaopatrywała zakład. Ks. Biskup Cieciszowski należał także do dobrodziejów zakładu. Sama panna Polanowska, odebrane w spadku po ciotce swojej Łosiowej 180,000 złotych i posagowe 20,000 złotych, także oddała na swoją fundacyę, która stała się jedynym celem jéj życia.

Gorliwą pomocnicę w swoich zatrudnieniach, panna Polanowska, znalazła w pannie Konstancji Tarszyńskiéj, która będąc mniszką, po zniesieniu klasztoru karmelitanek bosych w Przemyślu, zamieszkała w Łucku—i podzielała poczciwą pracę Józefy.

Śmierć panny Tarszyńskiéj, pozbawiła naszą bohaterkę ostatniéj przyjaciółki—i powiększyła ogrom pracy, pod ciężarem któréj poczęła upadać. Sam bowiem szpital składał się znów ze stu pięćdziesięciu łóżek.

Przytem do szpitala i do szkółki, poczęły się wkradać nadużycia, a zwątlone siły zacnej fundatorki, nie dawały możności zaradzić złemu. Wszystko to zbliżyło jéj śmierć. Umarła pierwszych dni czerwca 1829 roku. Cała ludność miasta, bez różnicy stanu i wyznania, uczęstniczyła w orszaku pogrzebowym, poprzedzonym przez uczniów szkoły męzkiej miejseowéj, pod przewodnictwem nauczyciela Dyonizego Jakubowicza. Młódź ta szkolna ułożyła na jéj grobie pamiątkową kolumnę z kamieni......

Może mi kto zarzuci, że zadługo zajmowałem uwagę Czytelniczek cichem życiem kobiety, któréj imię, zaledwie w pięćdziesiąt lat po śmierci daje się po raz pierwszy słyszeć, po za granicami okolicy, dla dobra któréj poświęciła wszystko, czem rozporządzać mogła: mienie, spokój domowy i trud życia! Co do mnie, wyznaję, że z pewną przykrością skracałem monografiją skreśloną na długich kilku arkuszach, przez jéj wychowanicę.... Każdy szczegół zdawał mi się być cennym i pouczającym... Dzisiaj szczególniéj, w obec egoistycznych teorji o samo-pomocy, życie pełne ofiary i poświęceń dla bliźnich z zaparciem się własnéj osobistości, zdawało mi się ideałem, godnym odsłonienia ku czci powszechnej!

Nie przemilczałem też żadnego nazwiska z liczby ofiarodawców, wspierających usiłowania zacnéj niewiasty. Może spadkobiercy mienia i imienia tych dobroczyńców cierpiącej ludzkości, jeżeli im ta karta pod oczy podpadnie, zechcą pójść za przykładem swoich przodków....Stypendjum Kopernika, mające zapewnić ukształcenie tym co po nas będą, dotąd w ciągu roku nie zebrało jeszcze podpisu na 20,000 złotych nawet! Śp. Józefa Polanowska oddała na cel podobny cały swój fundusz 200,000 złotych. Stawiam przed oczy wasze jéj obraz szlachetny!

Jan Prusinowski.

LALKI

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

— Stryj mi pisze, rzekł znowu przeszedłszy się po pokoju, ażebyś tym razem długo nie bawił w Uściu i wziąwszy odpowiedź moją wracał, a przyrzekł że jeszcze raz cię przyśle. I w tem jego woli sprzeciwiać się nie chcę, zwłaszcza że chory i niespokojny. Jakkolwiek żal czuję w sercu do Filipa, iż mi dziecko odebrał, trudno bym mu wdzięczen nie był za to, że choć po swojemu pilne miał staranie o waszmości... Inaczej on to rozumiał, a na sumienie zrobił co przyrzekł... teraz gdy chory, żal mi go że sam został... Dziś więc list przygotuję a na jutro rano do Uściługa konie, cicho dokończył stary i wyszedł.

Matka ocierała oczy... Roman siedział żałośliwie skrzywiwszy twarzyczkę, smutny ale nie czujący tak wielkiego żalu po rodzicielskim domu, od którego wcale nie był nawykły.

Był tu jakoś teraz tak nie w swoim żywiole, tak nieoswojony z życiem i obyczajem domowym, iż co chwila w czemś ojcu uchybić się lękając, cierpiał więcej niż się cieszył. Z lat dziecięcych mało mu wspomnień zostało o miejscach i ludziach, zatarły się one poźniejszem wychowaniem i życiem. Ubogi dwórek, prosty stół, usługa kobieca, dziwne tryby tego powszedniego żywota pracy, upokarzały go niemal. Nie będąc do tylu zepsutym aby nie czuć poszanowania i miłości dla rodziców, był dla nich zobojętniałym i z obowiązku tylko oddawał im cześć należną, Przypatrując się ojcu, a nie mogąc pojąć, ażeby z konieczności i upodobania trwał tak zagrzebany w wiejskim kącie, przypisywał to dziwactwu jego...

Nie mogło mu pomieścić się w głowie, ażeby Zebrzydowski przyszedł do takiego upadku i nie potrafił się z niego podźwignąć.

Wiedział wprawdzie p. Roman, że są i biedniejsi jeszcze ludzie na świecie przeznaczeni do twardej pracy bez nadziei polepszenia bytu, ale tłomaczyło mu to urodzenie, kastowość, bez któréj nie pojmował świata. Pewnym rodom w jego przekonaniu, jako przedstawicielom tradycji przeszłości, winno było społeczeństwo opiekę, poszanowanie i tę cześć jaką gdzieindziej oddają białym krowom i słoniom, dla których stawiają się marmurowe żłoby kosztem wszystkich i perłowy obrok im sypie.

Młodzieniec odebrał był to dobre wychowanie i zdrowe zasady, które nie dozwalają przypuszczać, ażeby pan Bóg wszystkich do jednego stworzył losu i obowiązków. Miał zresztą uczucie miłosierdzia i litości w sercu dla biednych, którym w pewnej mierze czuł

się obowiązanym dopomagać, tak jednak aby ich od pracy nie odciągać i nie rozbudzać w nich nieprawych chęci do niepotrzebnego światła i wyrzekania się stanu, do jakiego byli stworzeni... Dworek ojcowski w Uściu prawie tak samo go zawstydzał jak hrabiego Filipa, a stan rodziców upokarzał... Jakkolwiek więc czuł się do obowiązków względem nich, wolał je dopełniać zdaleka i gdy po przebytym długim dniu, raz tylko się przebrawszy, bo mu matka odradziła na wieczór wystąpić we fraku—nazajutrz rano żegnał w ganku oboje Chorąztwa, zasmuconych odjazdem jedynaka. Gdy powóz oddalił się od Uścia... w sercu młodego dziecka Pruhowa lżej się jakoś zrobiło. Odetchnął swobodniej. Wracał do życia, do którego był nawykłym, do kamerdynera bez którego obejść się nie mógł, do kuchni, którą przyzwoici ludzie jedynie karmić się mogą,—do godzin snu i czuwaniu normalnych, słowem do tego porządku, bez którego zdziczeć się lękał.

W ganku małego dworu siedzieli państwo Chorąztwo oboje zamyśleni na przeciw siebie, smutni oboje, i tym razem matka w duszy uznawała może, iż p. Zachariasz miał słuszność, bolało ją wyrzeczenie się dziecka, myśl że je nie rychło zobaczy i że szczęścia jego i świetności nie będzie mogła być świadkiem. Nie przeklinała jak on dnia i godziny, gdy oddała Romana, lecz pojęła teraz wielkość uczynionej ofiary.

W drodze już hrabia Roman odebrał dwie telegraficzne wiadomości, iż słabość hrabiego Filipa zagrażający przybrała charakter, że powinien był powrót przyspieszyć, nie tracąc ani chwili, gdyż tego po nim stryj wymagał. Doktór nadworny uspokajając wszakże dokładał, że choroba acz śmiertelna, kilka tygodni jeszcze przeciągnąć się może. Hrabia Filip znał stan swój niebezpieczny i z zupełną umysłu przytomnością przygotowywał się do ostatniej podróży.

Z kilku już rysów poprzedzających można się domyślać charakteru tego niepospolitego człowieka, który powodowany ambicją, niepospolitemi obdarowany zdolnościami potrafił stworzyć sobie fortunę, imię, stanowisko i przyszłą wielkość dla rodziny. W istocie pan Filip Zebrzydowski był człowiekiem jacy się nie codzień rodzą. Siła woli i rozumu zastępowały w nim wiele innych niedostających przymiotów. Wykształcenie nie zupełne winien był sam sobie, energję dała mu natura niezłomną. Z pojęciem jasnem świata i ludzi, słabości i dróg któremi idąc korzystać z nich można, począwszy od małego znalazł się u schyłku życia jednym z najmożniejszych galicyjskich magnatów. Wyrobienie hrabstwa w tej ojczyznie wszelkich tytułów, przyszło mu z łatwością, a uznanie społeczne tego przyrostu nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Majątek otwierał mu wrota do najwyższych sfer, wśród których, mimo wychowania zaniedbanego doskonale obracać się umiał.

Razem się w szkołach uczyli z panem Zacharjaszem i w żadnych innych pan Filip potem nie bywał, wyuczył się jednak wprawnie mówić dwoma niezbędnemi mu językami, francuzkim i niemieckim, przejął formy towarzystwa, do którego pragnął się wcielić, a z książek nabył tej ogłady i encyklopedycznych okruszyn, o których wybornie wyżyć można nic nie umiejąc w tak nazwanym wielkim świecie. Nikt nie wątpił w kółku tem, które znało bliżej hrabiego Filipa ani o jego prawach do hrabstwa, ani o świetności rodziny, o której dobrach w królestwie i pozycyi rozpowiadał bardzo zręcznie. W innych rzeczach mniej się panu nowemu powodziło, ożeniwszy się świetnie był i w pożyciu nieszczęśliwym i zmuszonym potom ka zapożyczyć od brata. Nie mając już innego celu w życiu na to dziecię zlał wszystkie nadzieje swe i plany, w niem widział głowę odnowionego rodu, gdyż w końcu sam nabył tego przekonania, iż do prawdziwych Zebrzydowskich należy z krwi i ducha.

Wychowanie Romana do tego zmierzało głównie, aby w niem ani śladu szaraczkowego nie pozostało szlachcica, chciał go mieć paniczem, choćby ze wszystkiemi wadami do tego stanu i powołania przywiązanemi, byle w nim hreczkosieja nie było. Stało się jak pragnął, Roman wyrósł na śliczną lalkę i codziennie uszczęśliwiał swą nicością przyzwoitą rozkochanego w nim stryja. Przebaczał mu hr. Filip jego młodzieńcze wybryki, byle one z gustem i z szykiem były wykonywane. Cieszyły go nawet, bo panicz zbyt oględny, obrachowany i zimny nie byłby tak prawdziwym. Oszczędny i spekulujący nawet na najdrobniejszych przedsiębierstwach, dla synowca nie żałował nic hrabia Filip, równie jak dla okazałości i pańskości domu.

W Pruhowie na starej sadybie jakiejś, stanął był przed laty piętnastu pałac galicyjskim smakiem...

Coś w rodzaju tego pudełka z hrabiowską koroną, które się we Lwowie domem czy pałacem Gołuchowskich zowie. Charakterami podobnych gmachów świeżo spanoszonych rodzin, są pretensje do olbrzymich rozmiarów i do prozopopei architektonicznej. Są to murowane ody na cześć magnackich rodzin nowej kreacji. Jak w odach klasycznych macie tam przedsionki o kolumnach majestatycznych, szerokie skrzydła, niby strofy, inwokacje herbowne na szczytach i heroicznomonumentalne kominy na dachach jak wykrzykniki stojące. Czegoż tam nie ma, prócz smaku?

Hrabia Filip nie mając go, jak inni jego rodzaju dorobkowicze, zapożyczyć trochę umiał,—posiadał instynkt i przeczucie, zachował więc miarę w pathosie i pałac jego wyglądał pańsko ale nie śmiesznie.

Założony park i zużytkowane drzewa stare nadawały mu poważną, niby dawniejszą nieco niż data wzniesienia postać. W takim gmachu życie musiało przybrać stosowne do niego formy pańskie. Przy największej oszczędności hrabia żył jak na Zebrzydowskiego przystało... miał kuchnię, stajnię, dwór, liberję, nawet nadwornego doktora, nawet na tandetach zakupioną bibliotekę, nawet domową kaplicę, bo to wszystko do hrabiowstwa należało. Dwa ordery jeden krajowy a drugi cudzoziemski, wisiały wyrobione prawidłowo z gipsu u herbu na pięć tarcz podzielonego przy faciacie pałacu. Hrabiowskie korony o perłach dziewięciu, gęsto oprócz tego rozsypane były gdziekolwiek je przyzwoicie umieścić było można.

Na codzień skromność przy życiu okazałem była wielka, bo hrabia lubił oszczędność drobnostkową, ale kilka razy do roku świetne bale i festyny, przypominały go okolicy i utrzymywały tradycję wystawnego życia Pruhowa.

Zbytecznym byłby szczegółowy opis pałacu, w którym starano się nadewszystko o wybitne gniazdo arystokratycznego piętna. Hrabia Filip słusznie za najdoskonalszy wzór wybrał był sobie angielskie zamki możnych rodzin, ale mu brakło tego co je najbardziej zajmującemi czyni, szczęśliwie zachowanych pamiątek odwiecznych. Były one nieodbicie potrzebne i targi europejskie, Paryż, Bruksella, Wiedeń, Wenecija, Londyn dostarczyły brykabraku, mogącego uchodzić za domowej przeszłości zabytki. Kochał się w tem hrabia Filip. Do niektórych sprzętów bardzo zręcznie podorabiano mu herby, do innych przywiązywał imaginacyjne historje przodków. Lwów i Kraków zaopatrzył go w karabele, koncerze, koszule i hełmy; dały się zdobyć stare pieczątki i zamek pod tym względem miał wyrobioną sławę — a nikt się ani nie domyślał ani chciał dochodzić zkąd się to te zabytki dostały. Sala portretowa równie zręcznie dokompletowaną została staremi płótnami różnego pochodzenia, którym podorabiano herby i nazwiska: kilka wizerunków w stylu dawnym domalował lwowski artysta z taką niezręcznością, że mogły w istocie za prastare oryginały uchodzić. Pamięć ludzka nie sięga daleko, kilkanaście lat trwania w jednem miejscu tych familijnych pamiątek, już im zupełnie prawo obywatelstwa nadało. Nikt nie śmiał wątpić o autentyczności.

Gdy hrabia Roman z ostatniej stacyi wziąwszy konie, dobił się po najgorszych galicyjskich dregach już późną nocą, w oknach przedpokoju od dziedzińca zastał światło jeszcze, a choć z powozem zatrzymał się u bramy, dosłyszał znać i domyślił się przybycia jego doktór nadworny pan Pęklewski i wybiegł na przeciw niemu na ganek. Był to lekarz jakich wielu, a człowiek jeszcze dobijający się sławy, wziętości i pozycji w okolicy, więc duszą i sercem oddany domowi, przez który inne spodziewał się zadzierzgnąć stosunki. Nie kosztowała go więc służbistość największa przy starym hrabi i najczulsza a pełna poszanowania przyjaźń dla młodego... Obu był powolnym do ostatnich możliwych granic.

— A! to szczęście żeśmy się nareście pana hrabiego doczekali! zawołał Pęklewski zbiegając ze wschodów z których o mało nie upadł spiesząc naprzeciw nowo wschodzącej gwiazdy. Hrabia się nieustannie dopytywał o pana.

— Lecz jakże się ma? jak się ma! przerwał Roman, wchodząc już na ganek...

— Nie mogę powiedzieć ażeby się polepszyło, cicho odezwał się Pęklewski. Nie mam co taić, godziny życia są policzone niestety, ale słabość da się przeciągnąć i przeciągnie. W tej chwili nagłego niebezpieczeństwa nie ma. Nadzwyczajna energia charakteru trzyma naszego hrabiego przy życiu. Osobliwsza, niesłychana organizacja, inny by tego nie wytrzymał. Lecz hrabia gdy co postanowi, gdy czego zapragnie, zdaje się że samo życie i śmierć zmusi do posłuszeństwa.

— Czy śpi? zapytał Roman.

— Choćby nawet drzemał, możemy wejść po cichu. Żądał tak bardzo przybycia hrabiego iż się nim ucieszy, a to tylko dobrze na zdrowie wpłynąć może.

— Chodźmy więc..

To rzekłszy machinalnie obejrzał się po swym stroju Roman, egzaminując czy jest przyzwoicie ubranym do wystąpienia przed stryjem. W tej chwili nawet nie mógł o pewnych prawidłach zapomnieć. Strój był podróżny, choroba i nagłość małe nieforemności dostatecznie tłomaczy.

Na palcach przeszli parę pokojów pustych i przyciemnionych w których kilku sługących czuwało. Doktór Pęklewski ostrożnie podniósł ciężką portierę sypialnego pokoju i oglądając się bacznie, z palcem na ustach poprzedził Romana.

Sypialnia w której hrabia leżał, była przepyszna: łóżko do koła osłonione, było rzeźbionem arcydziełem XVI wieku. Do niego stosownie cały sprzęt został dobrany. W stanie zdrowia hrabia miał inny powszedni pokój sypialny o wiele skromniejszy—czując się jednak źle i coraz gorzej, zapragnął zająć ową paradną izbę i łoże, aby umrzeć z pewną prozopopeją od powiednią rodowi swemu. Było mu tu może nawet mniej dogodnie, lecz wyglądało bardzo po pańsku. Komin z rzeźbionego drzewa, zwierciadła w ramach odpowiednich, stare bióro i stoły, nadawały pokojowi ponurą jakąś powagę. Posadzka pokryta grubym kobiercem, ciężkie portjery u wszystkich drzwi, czyniły z niego jakby dawną komnatę zamkową.

W chwili gdy weszli, ciężkie westchnienie dało się słyszeć z za firanek i głos osłabły, ale dosyć wyraźny i stanowczy, odezwał się.

— Pęklewski?

— Jestem panie hrabio, odparł cicho doktór uchylając firankę, jestem, i nie sam, mam szczęście zwiastować przybycie hr. Romana.

— Odsuń firankę! zawołał chory. W chwili rozkaz został wykonany, w świetle przyćmionej lampy stojącej na stoliku, ukazała się blada twarz rysów szlachetnych i pięknych, z oczyma głęboko wpadł

z usty wązkiemi zaciętemi, z czołem wypukłem pięknego kształtu.. We wzroku błyszczała w pełni inteligencja, było to wejrzenie człowieka, który jeszcze w zupełności sobą władał.

Wychudła, biała ręka wysunęła się z pod okrycia i głos powtórzył.

— Roman, chodź tu.

Młody hrabia zbliżył się, uchylając głowę przed stryjem, przypatrującym mu się z niepokojem jakimś i ciekawością.

— Dziękuję ci żeś powrócił prędko, zawołał chory, opadając na poduszki, ale ręką wskazując krzesło przybyłemu... Siadaj! Masz list ojca?

— Mam go...

— To dobrze. Jesteśmy w porządku. Czekałem na ciebie, dodał hrabia. Nie łudzę się wcale, puchlina podchodzi, odciągają ją i wstrzymują w nogach jak mogą, ale nie są wszechmocni ci panowie doktorzy. Niech sobie mówią co chcą, mnie nie oszukają... wiem że się puchlinę przeciąga nie leczy. Jestem do tego przygotowany... mówił z tak gorączkowym pośpiechem chory, iż mu tchu zabrakło i musiał chwileczkę odpocząć... Zwrócił twarz ku Romanowi, wpatrzył się w niego i rzekł uciszonym głosem, chociaż bystre wejrzenie jego dostrzegło, że doktór przez dyskrecję się oddalił.

— Pani Nieczujskiej poleciłem, aby przygotowała Lolę... Proszę cię, jedź, staraj się podobać—o czem nie wątpię *nous pricipiterons le denouement*—tu nie ma co zważać na formy... ja mogę umrzeć, a chcę, wymagam abyście się wprzódy pobrali. *Nous sauverons les convenances*, a gdy idzie o rzecz tak wielkiej wagi.. bierz je licho!

Stanowcze to orzeczenie hrabiego w oczach Romana było niezmiernie znaczące, nigdy bowiem chory w zwykłych życia warunkach, ani w tej myśli ani w taki sposób byłby się nie śmiał wyrazić o rzeczy tak poważnej, jak konwenanse i formy światowe.

Tu znowu potrzebował odpocząć chory... Roman pochylony słuchał przerwać nie śmiejąc.

— Idź, jeśli jesteś zmęczony, każ sobie dać kąpiel, połóż się spać na godzin parę, kazałem by konie, powóz i ludzie były gotowe.. Jak tylko będziesz mógł ruszaj zaraz do Gromów, prezentuj się, daj poznać, oświadcz i powracaj..

Roman nie śmiał się sprzeciwić, ale zawahał się, hr. Filip odgadł go.

— Panna do mnie przywiązana, wierzy we mnie, wie że tego chcę... nie będzie żadnych kaprysów. Po mojej śmierci—ha! mogłoby to wypaść inaczej... ale...

— Niech że się kochany stryj nie męczy, przerwał Roman.

— Bądź spokojny, mam miarę sił moich—dodał chory. Pojedziesz, uczynisz jak mówię. Jest to, nie przeczę, małżeństwo excentryczne... Powie nie jeden że mogłem was wcześnie poznajomić z sobą i przygotować je. Właśnie tego nie chciałem, byłby czas do zniechęcenia się i rozmysłów, a ja wiem żeście dla siebie dobrani.

— Kochany stryj pozwoli jednak—rzekł Roman.

— Nic nie pozwolę—odparł chory sucho, nakazuję ślepe posłuszeństwo.

Odetchnął znowu.

— Tak jest, ślepe posłuszeństwo —powtórzył—obrachowałem wszystko. Jesteście oboje dosyć dobrze wychowani by się znaleźć przyzwoicie. Nie możecie się sobie niepodobać... Ha! jeśli by później życie coś niespodzianego przyniosło—gdzież tego nie ma!

Wyciągnął białą rękę jakby do pożegnania.

— Idź, kąpiel powinna być gotowa, i do łóżka... dodał rozkazująco szukając oczyma doktora. Pęklewski—odezwał się głos podnosząc. Weźże Romana każ mu się wykąpać, potem zjeść jeśli głodny, przespać i niech jedzie—niech jedzie. Ja spokojniejszy zasnę także może trochę i sił nabiorę.

Z westchnieniem oparł głowę na poduszkach.

Jeszcze Roman nie miał czasu pochylić się ku ręce stryja, gdy cudem zjawiający się Pęklewski pochwycił go, posłuszny rozkazom i uniósł wziąwszy pod rękę z sypialni.

W jednem ze szkrzydeł pałacowych był apartament hrabiego Romana, urządzony z wytwornością i komfortem tak, aby w nim złotą młodzież, fashionablów lwowskich mógł nie czyniąc wstydu imieniowi Zebrzydowskich przyjmować. Hrabia Filip czuwał nad tem, aby tam na niczem nie zbywało... Skrzydło stanowiło można powiedzieć oddzielne domostwo, ze służbą osobną i wszelkiemi atynenciami.

Przywiązana doń była osobna stajnia aby hr. Roman mógł i na wyścigi stawić konie i sportem się zabawiać, i wozownia obficie zaopatrzona w amerykanki, powoziki, kocze itp. Pęklewski poprowadził podróżnego, którego rzeczy już wypakowano, do łazienki. Tu w istocie kąpiel już nań czekała. Była *de rigueur* po podróży. Pęklewski sam termometrem wyprobował wodę, aby za gorącą nie była, z zasady wolał chłodnawą...

W pół godziny potem nakryte było do wieczerzy, do której doktór się przysiadł, aby wina czerwonego sprobować. Roman nie wiele mógł jeść, nadto był znużony, a nim dokończył owej przymusowej przekąski, wtoczył się ogromny drab, niegdyś kawalerzysta austryjacki pełniący funkcje koniuszego, oznajmiając że konie do wiedeńskiego kocza zadysponowane są na godzinę szóstą.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Stanisław Moniuszko przez Aleksandra Walickiego. (z portretem i z dodatkiem kartki nut). Warszawa 1873 r. in 8-o stron. 140.

Życiorysy znakomitych ludzi, jak wiadomo powszechnie, wielkiego są znaczenia. Stanowiąc bogaty materyał do historyi, rzucają wielkie światło na czyny i dzieła tych górujących jednostek, tłomaczą nam wiele psychologicznych zjawisk, a w każdym razie wskazują drogi, któremi postępuje się, nie powiem po dawnemu do świątyni sławy, ale do wdzięcznej pamięci ziomków, jeśli nie całego świata. Ile tu cierni, ile kolców dotkliwych, ile strat i zawodów przecierpieć trzeba, nim się pozyska w końcu ten wieniec... często także cierniowy.

Społeczeństwo nasze wiele wydało imion, które mu chlubę przynoszą: nie wkraczając w dziedzinę historyi politycznej, śmiało powiedzieć możemy, iż nie masz nauki, nie masz sztuki, w najrozleglejszem wziętej znaczeniu, gdzieby nie jaśniało imię naszego ziomka.

Na przedmiotach więc do bijografii zbywać nam nie powinno, tymczasem gałązka ta literatury naszej bardzo uboga; prawie leży odłogiem.

Za niemałą więc zasługę poczytujemy p. Walickiemu, że wystąpił z bijografią nieodżałowanego naszego mistrza tonów—Stanisława Moniuszki. Życiorys-to sumienny i dosyć szczegółowy, chociaż nie możemy powiedzieć, aby był zupełny, widoczne są tu luki, których autor nie chciał, czy też nie uważał za właściwe zapełnić, odkładając to widocznie *ad meliora tempora*.

Pracę swoją rozpoczyna p. W. skreśleniem portretów przodków Stanisława Moniuszki, wszakże nie dla czczej chluby, nie dla okazania arystokratycznego pochodzenia naszego mistrza, ale dla wykazania ducha, jaki ożywiał całą tę zacną rodzinę, jakie tradycye, jakie uczucia, jakie myśli oddziałały na wyobraźnią i duszę przyszłego twórcy naszej opery. Oto jak sam autor z tego się tłomaczy:

„Uważałem za rzecz konieczną, dać choć pobieżny zarys osób otaczających urodzenie i dzieciństwo Stasia, oraz atmosfery, którą oddychał, gdyż bez tego czytelnik nie potrafiłby sobie wytłomaczyć źródła wielu objawów jego usposobienia, pojęć i działalności.”

Z portretów naszkicowanych przez autora najwięcej nas zajęły dwie postacie: dziada Moniuszki, imieniem także Stanisława, i stryja jego Dominika. Pierwszy, człowiek silnej woli i wytrwałości wielkiej, pracą uczciwą i korzystaniem z okoliczności prawie z niczego przyszedł do miljonowej fortuny, tak, iż po jego śmierci każdemu z sześciu synów dostało się po 100 chat i po 100 tysięcy rubli, a każdej z czterech córek po 10 tysięcy dukatów posagu. To jednak szczęście w zrobieniu majątku nie stanowi zasługi pana sędziego, lecz jego prawość, jego charakter, gościnność, religijność i rzeczy wista miłość bliźniego.

Stryj Dominik, to znów szlachetny i rozumny filantrop, jeden z małego grona tych ludzi, co wcześnie zrozumieli ducha idącego czasu i przykładem swoim wskazywali krajowi drogę, jaką postępować winien....

Pan W., jak nas przekonywują jego szacowne przypiski, obszerne i ważne mając materyały do swojej pracy, korzystał z nich umiejętnie i powściągliwie. Jasno i po prostu, z całą bezstronnością rzecz swoją prowadzi, nie uciekając się ani do oratorskich ampflikacyi, ani do nudnych, bo spowszedniałych rozumowań.

W samym życiorysie Moniuszki, autor wyjaśnił nam wiele szczegółów, które albo mylnie, albo opuszczone zostały przez improwizowanych biografów po pismach peryodycznych. Od pana W. dopiero dowiadujemy się dokładnie: dlaczego Moniuszko, urodziwszy się panem i mogąc przez swoją towarzyską pozycyę świetną zrobić karyerę, został muzykiem.... dlaczego jego dzieła, odznaczające się niezaprzeczenie oryginalną twórczością z taką trudnością torowały sobie drogę do uznania w kraju. Rozczytując się uważnie w pracy pana W. odgadujemy powody, dla których tak długo czekaliśmy na przedstawienie *Halki*; dowiadujemy się również dlaczego Moniuszko nie tylko żadnego po sobie nie zostawił majątku, lecz zawsze był w kłopotach finansowych. Powód choroby i nastąpionej w skutek niej śmierci, choć w części pan W. nam wyjaśnia.

Sumienność i bezstronność są zaletami tej pracy, a chociaż autor widocznie należy do wielbicieli zgasłego mistrza, i jak się przekonywamy z niektórych napomknień w przyjacielskich z nim zostawał stosunkach, przecież bezwzględną prawdę zawsze ma na widoku; uwydatnia stronę dodatnią, lecz nie zasłania ujemniej, przez co obraz tém pełniejszy, tém prawdziwszy się przedstawia. Oto wizerunek naszego genialnego kompozytora, religijność wolna od przesądów, żywy udział w intellektualnym postępie wieku, czułość na niedolę bliźniego, gościnność stałość i wierność dozgonna wybranej towarzyszce życia, charakter szczery, ale skryty jka u Litwina, skromność w uznaniu swoich zdolności posunięta aż do przesady, obejście wytworne, ale serdeczne: we wszystkiem i wszędzie prawdziwy poeta.

Zaiste, nie są—to przymioty bardzo dziś popłatne, a w każdym razie dla ludzi praktycznych niewielkiego

znaczenia. Można być wielkim muzykiem—mówią ci ludzie praktyczni—i zbierać grosze; jakież—to bajeczne summy zostawili po sobie ludzie, co i dziesiątej części geniuszu naszego kompozytora nie posiadali!

Uwagi te do pewnego stopnia mogą być słuszne, co zależy od punktu, z jakiego się kto zapatruje na życie i jego obowiązki. Co do nas za chlubę poczytujemy sobie, że Moniuszko kochał sztukę, kochał najbliższych, lecz nie kochał pieniędzy. Arcykapłan sztuki nie mógł mieć przymiotów kantorowego buchaltera, nie mógł frymarczyć darem bożym, oddając go na posługi temu, kto dobrze zapłacił. Otoczenie i atmosfera, w której urodził się i żył Moniuszko nie sprzyjała handlowi; mógł on zdobyć się na największe ofiary, prócz jednej sprzedania się temu, kto da więcej.

Bijografia Moniuszki skreślona piórem pana Walickiego, jak powiedzieliśmy wyżej, nie jest zupełną, głównie zaś dla tego, że to, co stanowi największą chwałę mistrza zgasłego, dzieła jego, są zaledwie wyliczone. Nie mamy krytycznego ich rozbioru, a właściwie szczegółowych studjów nad niemi, z wykazaniem ich piękności, ich ducha, i cech charakterystycznych, właściwych geniuszowi Moniuszki. Dzięki panu W. i za to, co nam dał, gdyż oprócz dokładnego wykazu wszystkich kompozycyi Moniuszki, niejednokrotnie w ciągu swego dzieła wspomniał, gdzie i kiedy, wśród jakich okoliczności i pod jakim wpływem napisaną została ta lub owa kompozycya. Jest—to rzecz niemałej wagi, gdyż ułatwia zrozumienia myśli autora, jaką uwydatnił w tonach.

Kończąc te słów kilka o publikacyi pana W. miło nam zanotować, iż po raz pierwszy zdarza nam się mieć w ręku książkę odbitą bez błędów drukarskich.

J. Pracki.

WŚRÓD
WIECZNYCH LODÓW

NAPISAŁ

SYGURD WIŚNIOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Wy, którzy chcielibyście by każdy człowiek postępował li wedle ogólnie przyjętych zasad, którzy szydzicie z osób porzucających często dostatek i zacisze domowe, by o chłodzie i głodzie dotrzeć do końców świata, szukać niebezpieczeństw, narażać się samowolnie na zgubę, czyż przykład tego drzewa nie pokazuje wam, iż i martwy świat posiada awanturników, którym milsze strome i groźne Alp urwiska, jak bujne i poziome łany. Mało tam pokarmu dostarczą im nagie wapienie i spróchniałe gneissy, latem i zimą mróz tam gości, przecież nie rzucą nasienia w dolinę, by dzieciom ich było milej jak im samem.

A jeszcze wyżej jak te drzewa nawet, spotkasz jałowiec i alpejską różę, płonącą różowym kwiatkiem. Snać i one tylko wtedy szczęśliwe, gdy bliżej Boga adalej od ludzi, oddychając rzadkiem powietrzem Alp, poją się wodą świeżo wytrysłą z pod śniegu.

A jeszcze wyżej, tysiące stóp nad granicami lodów, gdzie człowiek ledwie odetchnąć może, spotkasz na czarnej plamce skalistej niebieskie ranunculus glacialis, lub kwiatek zwany silena acantis. Czasami błyszczą tu i *gentiany* metalowym blaskiem, czem podobno żaden kwiat dolin się nie poszczyci. Profesor Tyndall zliczył w Alpach przeszło 50 rodzajów kwiatów na wysokości stóp 11,500, tworzących różnokolorowe łąki pomiędzy lodami. Te same kwiaty znów spotykamy w Tyrolu, w Tatrach, na Bałkanie, w odstępach stumilowych, a któż wyjaśni w jaki sposób rozsiały się one w mroźnych klimatach, pogardzając zupełnie resztą Europy? Która góra wydała je najpierw, w jaki sposób dostało się nasienie na inne tak odległe.... to wszystko tylko Bogu wiadomo.

Gdzie przy ścieżce rośnie ostatni krzew sośniny, ścina go Almer stary potężnym swym nożem. Zapytany po co, odpowiada z uśmiechem, iż zasadzi go na wierzchołku Vierschergratu.

Syn powiada nam, iż ojciec tak kocha się w zieleni, że zawsze bierze z sobą gałąź sporą i choć stęka, pod jej ciężarem i zawadza mu w ruchach, wlecze ją jednak na każdy szczyt lodowy, który zwiedza, by tam ją wetknąć.

W ten sposób tworzy stary włóczęga nowego rodzaju parki, zasadzając corocznie kilkadziesiąt drzewek na rozmaitych punktach. Przy zimnie tam panującem długo zachowują one swą zieleń, aż zimowe zasypią je śniegi lub wichry je w otchłań cisną.

Oprócz wymienionych już przewodników, szedł za nami chłopiec czternastoletni dźwigający kilkadziesiąt funtów jadła i opałowego drzewa. Schodząc po drabinie na lodowe morze usłyszałem jak młody Almer nazwał go bratem. Na lodzie więc zapytałem go, dla czego bierze tak młodego chłopca na podobne wyprawy.

— Ja sam o wiele będąc młodszym, spełniałem już służbę tragarza, odrzekł góral. U nas uczą się rzemiosła za młodu, a chłopiec ten za lat kilka zostanie samoistnym przewodnikiem. Wpierw jednak poszlemy go na czas jakiś do Anglii, by się nauczył języka wielkszości turystów."

— Jak wiele masz rodzeństwa? zapytałem znów Almera.

Wetknąwszy laskę w lód i wspierając się na niej niby zamyślony, prosił bym poczekał aż policzy. Znać rodzina starego Almera dość liczna, sądząc zaś po dwóch krępych i czerstwych chłopcach towarzyszących wyprawie, zarobek z turystów wystarcza na chleb dla całej gromadki.

Doliczył się wreszcie siedmiu braci i kilku sióstr. Wszyscy bracia zostaną przewodnikami, ojciec Almer (nikt w górach nie nazywa go inaczej jak Vater Almer), postarał się nietylko by za życia jego wszystkie góry zostały dostępnemi, lecz by i po śmierci jego nie zbywało na ludziach znających przesmyki alpejskie.

Przez lodowe morze, do owej czystej chatki gdzieśmy raz już pili kozie mleko w pochodzie przez Strahlleck, gdzie błękitne niezapominajki u progu kwitną, niezbyt długa droga. Pastuchy w niej nie zastajemy, za to myszy alpejskie (mus glacialis), wojują po stołkach i piszczą w kątach. Oprócz człowieka, kozy, gemzy i orła, one tylko wybierają się na mieszkanie w te wyniosłe okolice.

Wypiwszy trochę mleka i zostawiwszy za nie cokolwiek zdawkowej monety na stole, maszerujemy dalej. Ustają żarty i śmiechy, poczyna się praca pięcia się na lodowce, spadające stromo.

Około pierwszej z południa idziemy po lodowcu Vierscher, zamkniętym pomiędzy górami jakby jezioro wśród lądów.

Żmudna to podróż i wymagająca uwagi ze strony przewodników. Śnieg spadł tu niedawno, a zmiękczony dziś promieniami słońca, utrudnia postęp. Często brniemy w nim po kolana, i po pas zapadamy, przewodnicy zapuszczają weń głęboko kute końce swych lasek.

Nie jedna szczelina i rozpadlina w lodzie pokryta warstwą śniegu zieje pod nami, muszą więc próbować ażali mosty śniegowe zniosą ciężar osoby. Dziwne też rzeczy opowiadają nam o tej drodze. W bardzo dawnych wiekach chodzili tędy górale z Wallis na śluby i chrzciny do Grindelwaldu, później mniej odważni synowie ich bali się przekraczać krainę lodów, i dopiero turyści naszego wieku odkryli napowrót zapomnianą drogę.

Około czwartej po południu, po wspinaniu się po śniegach w pocie czoła, stajemy wreszcie na szczycie grzbietu, dzielącego gleczery spadające do Grindelwaldu od gleczerów Aletsch. Zwie się on *das Mönchjoch*, wyniosłość jego przenosi stóp 10,000.

Na lewej stronie błyszczy śnieżna góra, którą za Jungfrau bierzemy i witamy radośnym okrzykiem, chociaż kilka godzin drogi po śniegach dzieli nas jeszcze od jej wierzchołka. Niestety! stary Almer powiada, iż to tylko Trugberg (góra zawodu), nazwana tak, gdyż niejednego oszukała już turystę.

Stoi ona niby wyspa pomiędzy polami lodu i polami śniegu, wyrastając z nich tak stromo, iż nikt dotąd nie zdołał na szczyt jej się dostać. Dawny mój towarzysz doktór Heberlin już się kilkakrotnie kusił o sławę zdobycia i tego szczytu, lecz bezowocnie.

Wzdłuż podnóża Mnicha, i z tej nieznanej dotąd strony wyglądającego jak niedostępna piramida o białych ścianach, idziemy ku chacie, a raczej pieczarze, mającej nam służyć na nocleg.

Opisałem *hotel Weisshorn* na Wetterhornie. Nieświetna ta gospoda wcale wyglądałaby przyzwoicie obok hotelu Mönch.

Jedną ścianę a raczej półtory ściany i część dachu tej budowy tworzy skała. Część wyższa jej nad chatką zdaje się, że spadnie lada chwila, by gości pogrzebać. Resztę ścian zbudowano ze szarych głazów, do wysokości stóp czterech, dach na nich płaski jak u willi włoskiej, drzwi od których klucz ma Lauener, pełne szpar przez które zawiewa śnieg do chaty, meble we wnętrzu podobne do owych na Wetterhornie, termometr nasz wskazuje nawet po zapaleniu tylko + 4.

Chata jest własnością Klubu alpejskiego w Bernie i kosztowała pomimo znikomości swej 1000 franków. Każdą deszczułkę do niej przyniesiono na plecach z Grindelwald. Gdy jej nie było, turyści i górale przydźwigawszy z sobą cząstkę materyału na budowlę, sypiali podówczas w poblizkiej jaskini lub namiotach, i w szarych godzinach pracowali, stawiając głaz na głazie i tworząc mur cyklopejski, bo bez wapna. Nie odrazu Kraków zbudowano i nie w jednym dniu ową chatę, wreszcie i ona stanęła po upływie lat wielu: w roku 1868 liczne towarzystwo wyprawiło tu biesiadę, by uczcić jej uroczyste otwarcie dla publiczności. Siedziano na ziemi lub kamieniach, a stary Almer krótką przemową powitał gości obcych, dziękując im, iż własnemi rękami przyczynili się do ukończenia hotelu. Dziś jeszcze pokazuje nam spore kamienie przyniesione i postawione rączkami kilku pań bardzo miłych, których fotografie pokazywał nam z wielkiem poszanowaniem.

Po herbacie począł Christian Gertsch gotować zupę z bulionem, my ścisnąwszy się w połowie chaty, gawędzimy o gospodzie, Lauener przeprasza nas, iż brakuje kubków i talerzy, lecz wicher zwany Föhm zerwał dach przeszłej zimy, potłukł naczynia i nawet blaszanego czajnika nie oszczędził. Choć tenże służ i dziś jeszcze, lecz wierzchnia część jego mocno pochylona na bakier.

Między Almerem i Lauenerem poczynają się przycinki, kto więcej dokazał w świecie alpejskim. Każdy wylicza góry, na które wszedł pierwszy; Almer dokucza tamtemu, iż nie mógł wejść na Vierschergrat, ten znów jemu iż pomimo tylu usiłowań doszedłszy raz o stóp 400 do szczytu Gspaltenhorn, wrócił ztamtąd nie dopiąwszy celu. Wreszcie opowiada nam Lauener, jak on i współzawodnik jego, wywiedli raz dwie partje śmiałych turystów różnemi drogami na górę do owego czasu niezwiedzoną. Blizko szczytu, w najniebezpieczniejszem miejscu, spotkali się rywale. Każdy pała żądzą by jego nazwisko czytano w Roczniku alpejskim jako zdobywcy góry: poczynają więc biedz w zawody. Przewodnicy, turyści, tragarze, porzuciwszy precz powrozy, pną się na lody i skały. Miał to być straszny widok tych ludzi, narażających życie w tak strasznem i niebezpiecznem współzawodnictwie. Oddział Lauenera stanął pierwszy u szczytu, gdyż udało mu się znaleźć mniej twarde miejsce do ciosania stopni w lodzie, jak Almerowi.

Opowiadanie tego zwycięztwa przerwał wypadek niespodziany. Gertsch gotujący zupę i mięszający ją długą i niezbyt czystą łyżką, dotychczas spełniał pilnie swój obowiązek. Woń bulionu rozlegała się już po chacie, ślinka nam do ust płynie, w tem słyszymy syk wody gaszącej ogień w piecu.

Kucharz nasz zasnął nad swą pracą, zupa nie strzeżona wykipiała i przewodnicy zaczynają łajać ospałość dozorcy. Almer poważnym i rozczulonym nawet głosem dowodzi mu, iż podobna skłonność do snu kiedyś wielkie sprowadzi mu nieszczęście. Przypomina mu, jak raz pozostawiony na stopniu wyciętym w lodzie, nad przepaścią kilka tysięcy stóp głęboką, zasnął niby w łóżku i przez parę godzin spoczywał w miejscu tak niebezpiecznem, iż za najmniejszym ruchem ciała runąłby w otchłań. Innym razem usnął gdy trzech ludzi wisiało na powrozie, którego końca pilnował, słowem Gertsch mało dba co się stanie z nim, jutro, byleby dziś mógł się wyspać.

Pomimo tego mogę go śmiało polecić turystom wyruszającym z Grindelwaldu. Silny niby Herkules, jedną ręką przeniesie człowieka ze skały na skałę; siekierą i motyką włada wybornie i wycina trzy stopnie w lodzie zanim inni dwa wyrąbią; troskliwy o swego pana niby matka o dziecię, a chociaż czasami da wykipić zupie, jest on i kucharzem wcale niepospolitym jak na Jungfrau. Bulion owego wieczoru, kotlety, jakiemi nazajutrz nas uraczył, zasługiwały na pochwałę; zresztą doświadczenie jego kucharskie już często chwalone w Rocznikach alpejskich a nawet w dziełach znakomitych uczonych badaczy. Wszak on bifsztykiem dogodził nawet geologom angielskim!

Pocieszne wzmianki o Almerze, Gertschu i innych przewodnikach naszych, jakie napotykam w dziełach opisujących wyprawy na Alpy, już to w języku angielskim, już niemieckim, sympatja z jaką pisarze wyrażają się o nich, dowodzi mi, iż nietylko me serce przylgnęło do tych awanturniczych synów Grindelwaldu, pnących się całe życie po skałach.

Ten sam Gertsch, chłop dostatni i dość wykształcony, nie potrzebowałby spać na czterech całach kwadratowych lodu i nad przepaścią, gdyby go jakaś nieprzeparta siła nie pociągała na lodowce.

W chacie u stóp Mnicha nie spaliśmy dłużej jak w hotelu Weisshorn. Przewodnicy grali w karty brudne i tłuste, należące do urządzenia hotelu a ciągłe okrzyki ich tryumfalne i uderzania pięściami o ławę, przerywały ciszę nocną. Huku na dworze nie słyszeliśmy wiele w tej pierwszej części nocy, gdyż na płaskich polach śniegowych pod nami, zwanych das Ewigschneefeld, nie toczą się lawiny ani pękają lody. Dopiero około północy począł wyć żałośnie Föhm południowy.

Stary Almer, potrząsał głową słysząc to wycie. Der Schneefresser ist da (zjadacz śniegu przyszedł), mówi do nas i zapowiada na jutro uciążliwą podróż i mgłę nawet.

Dziwny to wiatr ten zjadacz śniegu. Wedle zdania uczonych, jest to dalszy ciąg Sirokka od spiekłej pustyni Sahary. Gdy ogarnie gleczery w ciepłe swe objęcia, nikną szybko lody pod tchem jego. Gdyby, powiada pewien uczony niemiecki, jutro Saharę napełniono wodą i utworzono z niej morze, jak to bywało w wiekach przeddziejowych, chłodny wiatr od południa a nie jak dziś ciepły nawiedzałby Alpy. Gleczery poczęłyby narastać z niesłychaną szybkością, zielone doliny pokryłyby się lodami, usuwającemi się z gór pod parciem wyższych śniegów. Miejsca jak dolina Mejringen, zmieniłyby się w lodowce obszerne jak owe, które stworzyły morenę granitową na szczycie wzgórza, dzielącego Meyringen od wyższej części doliny. Dowodzą, iż tam niegdyś dochodził gleczer Aary dziś skryty w górach wysokich: dziś sięga on tylko 6000 stóp nad powierzchnią morza, wówczas dosięgał do 2000. Jak na wschodniem wybrzeżu nowej Zelandji, owianem chłodnym wiatrem od południowego bieguna, lodowce posuwają się aż do 1000 stóp nad ocean, i wciskają się pomiędzy roślinność podzwrotnikową, tak i w Europie ujrzelibyśmy zimne języki lodów u wrót miast naszych. Niechże więc Sahara zostanie Saharą, skoro taki los spotkałby nas wskutek jej zmiany, gdyż posunięcie się lodów ku dolinom zmieniłoby klimat całej części świata.

Choć Föhm huczy około chaty i nie będziemy mieli widoku u szczytu Jungfrau, dziękujmy zań niebu.

O czwartej rano ruszamy w pochód, podzieliwszy się na dwa oddziały. Almer wiedzie swój na Vierschergrat, spadający dość łagodnie ku Ewigschneefeld i ciągnący się niby długi grzebień zębami obrócony do góry, z których trzy wystają nad inne; my zaś okrążamy Frugberg, zostawiając go wreszcie na lewo. Mgły dotąd nie wiele ale śnieg bardzo miękki.

Pole wiecznych śniegów, a raczej puszczą śnieżną karmi lodami tu utworzonemi gleczer Aletsch, owe największe jezioro lodu, znane ludziom. Przez otwór pomiędzy górami cisną się one ku nizinom lub łączą z inną podobną puszczą, leżącą między Jungfrau i górą Aletsch, współzawodniczącemi z sobą co do wysokości.

Gdyby kto stanął na wyniosłym Trugbergu, szarej wyspie wśród białego morza, ujrzałby dokoła równiny śniegu, po których idący ludzie wyglądaliby jak czarne mrówki. Mało na nich szczelin, zwłaszcza gdy nie dawno świeży śnieg upadł, mało też miejsc wyniosłych. Jak stepy ciągną się one w prawo i w lewo aż dotkną podnóża olbrzymich gór, tworzących w około nich wianek skał już to szarych, już to śnieżnych i mocno pochylonych urwisk. Gdy słońce zaświeci nad tą powierzchnią, blask jej oćmiłby wkrótce niebacznego badacza, nie posiadającego szkieł ciemnych; śniegi lśnią bowiem inaczej na wysokości stóp 11,000 jak u nas w dolinach. W skutek zapewnie rzadkiego powietrza promienie odsyłane z nich, rażą oko ludzkie, a nawet od ich blasku, występują już raz wspomniane wyrzuty na twarzy, większej części wędrowców.

Inne dziwne zjawisko tych pól jest, iż człowiek traci tu wszelkie pojęcie o stosunkowej wielkości. Przestrzeń mili wydaje mu się tak krótką iż chce kamień przez nią przerzucić, głazy dalsze od nas wydają się równie blisko jak leżące tuż obok. Nie mając żadnego przedmiotu do porównania z wysokiemi górami dokoła, myślisz, iż niewyższe od sporych wież kościelnych i że wnet na nie wejdziesz. Słowem prawa perspektywy zdają się zupełnie spaczone w tej pustyni. Po takich polach depczemy aż minąwszy Jungfraufirn, stajemy u podnóża skał, tworzących rodzaj południowego jej przylądka. Związani powrozem pniemy się na nie i po godzinnej pracy dochodzimy do szczytów.

Po za niemi nowy otwiera się widok. Dolina Rotthal wbiega pomiędzy ściany Jungfrau, niby odnoga śniegowego pola. Ściany tworzące półkule na wschód obrócone, otaczając ją tworzą z niej zatokę lodu. Spadają ku niej już to pionowo już to w ścianach lodowych, prawie pionowo sterczących.

Na przylądku owym obracamy oczy ku kręglom, na który musimy się wedrzeć, jeżeli chcemy oglądać szczyt góry. Lauener, który dziś obrał tę drogę z pobudek jemu tylko znanych, gdyż podobno istnieje inna, cieszy się wprawdzie, iż ogromne *arvès* czyli szczeliny ziejące tu pomiędzy śniegami a górą, w dobre mosty śniegowe zaopatrzone—gdyż nie posiadamy drabiny do przekroczenia ich bez mostów—lecz zapowiada iż będziemy mieli szatańskie rąbanie lodu, gdyż śnieg ztajał już z kręgla sterczącego wprost nad nami.

Ściana przed nami straszniejsza od owej na Wetterhorn, gdyż o wiele wyższa choć wątpię czy więcej stroma. Są w niej miejsca stojące pod kątem 70° —, lecz większa część ściany pochyla się 50—60°. Idąc po niej widzisz po lewej ręce bezdenną przepaść Rotthal, co wcale nie uprzyjemnia pochodu. Gertsch z motyką idzie naprzód, ja za nim, za mną Lauener potem szkot, wreszcie trzeci nasz góral. Opatrujemy znów powróz czyli cały i nieprzetarty ostrzem skały, i po obfitym posiłku puszczamy się w drogę.

Czach! czach! czach! uderza Gertsch motyką w lody. Co kilka uderzeń nowy utworzy stopień i wołając: *ich bin fest!* wzywa nas za sobą. Jeżeli bardzo stromo wbijają i on i Lauener swe motyki w jamy wykute w lodzie, szczególnie czynią to w miejscach gdzie wisimy jak ptaki na gałązce nad otchłanią po lewej stronie.

Z pomocą wyprężonego powrozu my dwaj pniemy się pod górę. Gertsch przed nami wygląda jak olbrzymia mucha na białej ścianie izby, igły lodu sypią się z pod jego motyki, wiatr miecie niemi w mą twarz z ziębłą, każde takie uderzenie nabawia mię bólu, ale że na to nie ma rady, milcząc znoszę ciosy.

Wreszcie po kilkogodzinnej pracy dostrzegamy głazy mchem pokryte. Gneiss to kruchy pojawiający się z pod lodu blisko szczytu góry. Jeszcze kilka stopni, a przewodnik nasz łwoła iż stoim na wierzchołku. Siadając nań jak na konia, gładzi go szerokiem dłutem u końca motyki i zwolna czterech z nas staje (zostawiając piątego poniżej z wytężoną liną) na rodzaju kładki mającej sześć cali szerokości a może 7 kroków długości. To jest der Jungfraukamm, grzebień dziewicy, ów punkt na którym wisisz niby między niebem a ziemią, czasami ostry jak wierzchołek domu, krytego dachówką.

Ściana spadająca ku Wengeralp, pionowa zupełnie kryje swe podnóże we mgle, której płaszcz szary zaległ całą północną, wschodnią i część zachodniej okolicy. Tylko Silberhorn, niby mała srebrna wieżyczka połączona z główną górą długą galerją.

Na południu możemy dojrzeć cokolwiek krajobrazu, bo tam chmury nie tak gęste suną jedna po drugiej w odstępach. Ostrożnie obracamy się na ciasnej podstawie, spadającej na prawo i lewo, w lodowe ściany ogromnie strome. Föhm wzmacniający się lecz nie zimny, wieje nam śniegiem unoszonym z pod stóp naszych w oczy, nie długo więc patrzymy na południe, i w dziesięć minut po wejściu na szczyt góry znów go opuszczamy.

d. c. n.

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH
ODNOSZĄCE SIĘ

DO GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

(Dokończenie).

Pień orzecha zwłaszcza ze zdrowych daje drzewo twarde i ciężkie, daje się gładko wyrabiać, ma piękne słoje i dobrze przyjmuje polituręe, dla tego używa się na wyrób wytwornych mebli, osad do broni palnej, itp. W niczem nie ustępuje mahoniowemu i palisandrowemu drzewu i drogo się płaci, z ziarn wytłacza się wyborny i obfity olej, mogący zastąpić oliwę, a przez malarzy bardzo poszukiwany. Z łupin owocowych otrzymuje się trwała, ciemno-brunatna i czarna farba. Nareszcie liście i orzechy mają w sztuce lekarskiej zastosowanie.

Jeszcze wspomnieć nam należy o *figach*, w niektórych naszych ogrodach uprawianych, a w południowej Europie prawie dziko rosnących.

Drzewko to a właściwie krzew, wyrastający jednak na łokci 10, jest niezmiernie łatwy do hodowania. Potrzebuje tylko cokolwiek wilgotnego miejsca i osłony na zimę w naszym klimacie. Liście ma wielkie, rozmaitego kształtu, kwiaty figi znajdują się na zewnętrznej części wspólnego osadnika, czyli dna kwiatowego. Osadnik ten ma postać gruszkowatą i zupełnie jest zamknięty, w górze tylko ma otwór. Po dojrzeniu staje się mięsistym i on to jest jadalny pod nazwiskiem *figi*. Owoc zaś rzeczywisty, jest drobny, suchy okrągły, wewnątrz figi do jej ścian uczepiony. Ten to owoc nieświadomi nazywają niewłaściwie *ziarnem figowem*. W niem dopiero znajduje się ziarno w swem pokryciu.

Owoce *figi* są dwojakie czyli raczej w dwóch epokach dojrzewają: jedne wyrastają w połowie gałązek i dojrzewają w Lipcu, drugie zaś przy wierzchołkach, a dojrzewają we Wrześniu; pierwsze są większe, drugie natomiast są słodsze.

Hodowanie dało wiele odmian tego owocu. Przyjemne są i zdrowe do jedzenia zwłaszcza świeże; suszone zaś na słońcu, jak w handlu je widzimy, chociaż znacznie słodsze, przez wyparowanie z nich wody są mniej strawne.

Jakkolwiek po ogrodach nie hodowane u nas, i zaledwo w cieplarniach utrzymane, ale drogą handlu obficie dostawiane i w domowem gospodarstwie potrzebne, *cytryny i pomarańcze*, choć wzmiankowane być tu muszą.

Należą one do jednego rodzaju *Cytryn* (Citrus) a do Familji *Pomarańczowatych* (Aurantiaceae), kora, liście, korona i kielich kwiatowy, nawet skórka owocowa, opatrzone są pęcherzykami zawierającemi olejek lotny, pachnący. Gatunki wszystkie rodzaju *Cytryny*, pochodzą ze środkowej Azyi, lecz dziś hodowane są w cieplejszych okolicach obudwu światów.

Te owoce winny swą wziętość powszechną kwasom, cytrynowemu i jabłkowemu zawartym w komórkach miękkiszu, i olejkowi lotnemu, przyjemnej a przenikającej woni, wydzielającemu się z gruczołków rozsianych po całej roślinie. Kwasy te używają się równie w gospodarstwie domowem jak i w medycynie, jako środek chłodzący, przeciwgorączkowy, rozwalniający lekko i opierający się zgniliznie. Pierwiastek aromatyczny ma własności podniecające i przeciw spazmowe. Woda przez dystyllacją z kwiatów otrzymana, oraz olejek lotny z kwiatów i skórki, bardzo w perfumerji jest używany, i wchodzi przeważnie w skład *wody kolońskiej*.

Pomarańcza zwyczajna (Citrus aurantior), daje owoc soczysty niezmiernie przyjemny. *Pomarańcza gorzka* (Citrus vulgaris), jakkolwiek owoc ma gorzki niemniej przeto użyteczny. Z jéj liści napar używa się w medycynie, kwiaty dają olejek lotny zwany *neroli*, skórka służy do przygotowywania tynktury, do robienia syropu i likieru pomarańczowego zwanego *Caraçao*, mającego powszechne wzięcie. *Cytryna medyjska*, albo *cedrat* (Citrus medica), rodzi owoce wielkie, podłużne, bardzo chropowate, zewnętrzna skórka daje essencją przyjemnej woni, wewnętrzne zaś pokrycie grube i mięsiste służy na wyborne konfitury. *Cytryna bergamota* (Citrus Limetta) ma owoc cierpki i gorzki, lecz skóra jego delikatna, złocista, pełna wonnego olejku, daje przez wyciśnięcie znany powszechnie pachnący olejek bergamotowy. I nareszcie *Cytryna zwyczajna* (Citrus Limonum), ma owoc napełniony obfitym i mocno kwaśnym sokiem, którego użytek wieloraki powszechnie jest znany.

Kończąc ten rozdział, zwrócić musimy jeszcze uwagę na ogrody owocowe, jako będące składową częścią ogólnego Gospodarstwa Wiejskiego.

Z rozpowszechnieniem kolei żelaznych, przy możności taniego i szybkiego dostawiania świeżych owoców, do najodleglejszych punktów zbytu i miejsc które ich wydawać nie mogą, handel owocami znaczne przybrał rozmiary, a hodowanie drzew owocowych wielkie korzyści poczęło przynosić.

Ta piękna bodaj, czy nie najprzyjemniejsza gałąź Gospodarstwa wiejskiego, u nas niestety, w najzupełniejszem pozostaje zaniedbaniu, a jednak klimat naszego kraju i nasza ziemia, zdolne są do produkowania najlepszych, najdelikatniejszych owoców. Doprawdy wstyd jest powiedzieć, że Warszawa na swoje wewnętrzne, miejscowe potrzebowanie nawet, dość owoców z własnego kraju mieć nie może, a musi z zagranicy, głównie z Węgier sprowadzać najzwyczajniejsze nawet gatunki i drogo, bardzo drogo za nie płacić.

Moskwa, Petersburg, cała średnia i północna Rossya, niezmierną ilość owoców odbiera z zagranicy, a w zamian brzęczącą monetę jej daje. Pociągi naładowane owocami dzień w dzień przez Warszawę tam śpieszą. Tak samo i z naszym produktem iśćby mogły, znaczne nam przynosząc korzyści. A czegóż na to potrzeba?—Oto kawałka ziemi tylko, oraz trochę nauki, trochę dobrej chęci i pracy.

H. K.

O ubiorach.

Z rozpoczynającym się karnawałem, oglądaliśmy w tych dniach okazałe toalety w magazynach: Pani Kwiatkowskiej, Kuhnke i Thonnes.

W pierwszym z tych zakładów znaleźliśmy kilka balowych toalet i parę wizytowych.

Suknia czarna tarlatanowa, ubrana w koło wodą, na przodzie garnirowana à tablier, przepinana koronką czarną i kokardami aksamitnemi, oraz gałązkami różnobarwnych kwiatów i trawek. Tren odrobiony w płaszcz dworski zdobiły koronkowe i tarlatanowe falbany, ćwierć łokciowej szerokości; z tego samego płaszcza ułożony był puff 2 razy przedzielony od boku do boku girlandą, uwitą w środku szerzej, z kolorowych asterków i podpuszczoną od dołu frendzlą z różnorodnych trawek, gdzieniegdzie z pomięszanemi wrzosami. Drugie przemarszczenie było gładkie, ale na takowe spadała długa baskina od stanika wyciętego, także oszyta frendzlą z trawek na koronkowej falbanie. W pasie z tyłu w miejscu kokardy, bukiet wpięty w jeden pukiel aksamitny z długiemi końcami, takiż sam na lewem ramieniu. Na głowie miała służyć pół girlandka z asterków z egretką z boku.

Żółta tarlatanowa. Od dołu dość szeroka plisa atłasowa niebieska ślicznego odcieniu, ogarnirowana do góry wązką koroneczką w fałdki. Falbana pliską niebieską oszyta na boku w ząb podniesiona, na to koronka biała pliską przyszyta z nagłówkiem koronkowym. Na wzniesieniu z boku kokarda ze wstążki niebieskiej z białą różą. Z przodu garnirowanie także, powtarzające się i większemi kokardami zakończone. Z tyłu dwa wielkie końce z tarlatanu, w rodzaju chusteczki upięte. Stanik w kwadrat wycięty; baskina rozcięta z tyłu, na jednym boku w ząb podpięta, oszyta koronką i pliską atłasową. Pasek niebieski w stanie. W tyle z boku kokarda z kwiatkiem ukośno przypięta; u prawego ramienia na plecach tak samo. Na przodzie gorsu plisowanie z tarlatanu, formujące skrzyżowaną bertę, a na odwrotnej stronie chusteczkę w ząb, wszystko oszyte pliską niebieską i koronką. Toaleta skromna a bardzo wdzięcznie wyglądająca. Na głowę przeznaczony był wieniec z białych róż.

Niebieska krepowa. Przód spódnicy w podłużne buffy, przedzielane koronką do połowy sukni od dołu; ztąd do pasa poprzeczne buffy szerokie, naprzemian z koronkowemi falbankami ćwierciowej s z e r o k o ś c i. Z tyłu ku bokom buffa szersza w środku, pokryta białą illuzyą. Po bokach dwie falbanki koronkowe lekko przymarszczone, dalej dwie buffy i znów koronka, a od stanu feston z plisowanej krepy, pod nim buffa szersza, w środku pokryta illuzyą, zakończona w zęby ku bokom. Na odznaczeniu przodu od boków, girlanda z suchych liści i róż białych. Stanik z bertą w ząb z tyłu, na przodzie fałdowana, oszyta szeroką koronką. Nad wykrojem stanika girlanda; na przodzie sukni do boku także sama. Na głowie diadem z róż i suchych liści spadających z tyłu.

Suknia balowa z materji faille koloru pervanche (lilla.) Spódnica od dołu z buffą na około z białej illuzyi, parę razy przemarszczona; na niej szeroki na trzy ćwierci łokciaw olant biały koronkowy, przyszyty aksamitną pliską koloru sukni, z nagłówkiem w górę z illuzyi układanym, trzy cale szerokim. Przód spódnicy trzy razy naszyty koronkową falbaną, z aksamitną pliską na każdem przyszyciu. Od stanu aż do pierwszego wolantu z koronki, uplisowanie z illuzyi w guście fartuszka, po każdej stronie tegoż po dwa pasy aksamitne zwężające się do góry i zakończone śliczną frendzlą. Pasy te przemijanym sposobem podciągane były pod falbany. Draperja z tyłu z illuzyi w festony ułożona, oszyta szeroką frendzlą i spięta po bokach na wielkie aksamitne kokardy, z końcami z frendzlą także. Stanik wycięty aksamitny z bawetem długim i baskiną, ogarnirowany koronką i illuzyą. Z tyłu od ramienia aż do boku ku przodowi, girlanda z róż saumon (cielistych). Takiż wieniec na głowę z piękną czaplą egretką z boku.

Suknia wizytowa, fasonu *Juliette* z materyi faille oliwkowego koloru, ubrana aksamitem koloru prune (śliwkowy). Spódnica z przodu z tuniką en tablier kolisto ułożona, falbana trochę namarszczona aksamitna, ubrana siatką z ruloników jedwabnych. Z tyłu taż falbana objęta aksamitem na 4 cale szeroko. Stanik francuzki, koloru oliwkowego, cały pokryty siatką z materyi śliwkowego koloru i oszyty falbaną aksamitną z takiemże garnirowaniem. Kołnierz stojący fałdowany aksamitny. Rękawy z mankietami muszkieterskiemi, pokrytemi siatką jak powyżej.

Czarna jedwabna faille. Spódnica ubrana trzema szerokiemi wodami najszersza od dołu aksamitna druga jedwabna, a najwęższa znowu z aksamitu, wszystkie lekko marszczone i ułożone w trzy festony. Na bokach ćwierciowej szerokości aksamitna falbana. Sukni z tyłu dwa razy podniesiona: pierwszy raz przewiązana od góry aksamitnem plisowaniem, namarszczeniem i przytwierdzone z boku szarfą aksamitną półtory ćwierci szeroką, z frendzlą z dżetem i ogromnemi fantazyjnemi kokardami z materyi.

Drugie podniesienie tylko gładko przemarszczone; z pod niego ukazywał się wolant trzy ćwierci łokcia szeroki, z materyi zakończony wązką aksamitną falbanką z nagłówkiem. Boki na przemarszczeniu zakończone kokardami aksamitnemi, dżetowemi klamrami spiętemi. Stanik jedwabny u dołu z podwójnemi szpicami, rozchodzącemi się i objętemi pliską aksamitną. Na wierzchu stanika ubranie w kształcie szelek, z aksamitu spadające na biodra. W samym środku stanu w pasie dubeltowa kokarda, dżetową klamrą zdobna; epolety aksamitne łączące się z szelkami. Mankiety o dwóch klapach, jednej jedwabnej, a drugiej aksamitnej.

U pani Thonesowej widzieliśmy balową suknię prześlicznego efektu z pięknej białej krepy. Od dołu zdobiona, w pewnych odstępach szerokiemi półkolami w górę idącemi, układanemi z plisek calowej szerokości, z gazy Chambéry w siedmiu kolorach, jedna pliska

tuż przy drugiej. Na każdem zakończeniu półkola pęk pukielków, z długiemi końcami z wstążeczek tych samych barw. Tiunika tak samo przybrana z małą różnicą, że u niej tęcze szły na dół i zakończone były pęczkami stosownego koloru asterków. Podebrane z jednego boku tiunika girlandą z tychże kwiatów i wielkim pękiem kokardek z końcami. Na staniku niby berta dość szeroka, z dwóch girland tęczowo ułożonych, jedną umieszczono u samego gorsu, drugą na brzegu berty. Pasek z gazy Chambéry, na spięciu tegoż u boku bukiet, takiż naprzeciwnym ramieniu z angielską trawą, spadającą dość długo. Rękawki podobnież ubrane. Na głowie wieniec w diadem podniesiony do koła głowy z asterków.

Oprócz tego pokazywano nam mnóstwo przygotowanych materyj na balowe stroje, n. p. bardzo świetne białe i czarne tiule w haftowane pelami bukiety. Cena sztuczki na suknią 55 r. sr. Tarlatany różnych modnych kolorów w aksamitne kółka, po 50 kop. łokieć; tarlatany frappés, (odbijane) w srebrne i złote desenie, łokieć 75 kop. Tarlatany Pompadour w haftowane bukiety 3 r. sr. łokieć, szerokie trzy łokcie na tiuniki. Tarlatany gładkie we wszystkich modnych kolorach, odpasowane z falbanami oszytemi karbowaną atłasową wstążeczką. Cena 30 r. sr. sztuczka Kolory tych tarlatanów, nie tracą apretury od gorąca balowej sali. Są sztuczki 27 łokci złożone po 7 r Białe i kolorowe gładkie od 5 do 9 rubli. Gazy Chambéry do garnirowania we wszystkich barwach po 75 kop. takież w pasy atłasowe na suknie i tiuniki od rs. 1 kop. 50 do 2 r. sr. za łokieć. Jest tu także bardzo wielki wybór Paryzkich kwiatów.

Zakończymy nasz przegląd balowych strojów na magazynie panien Kuhnke, gdzieśmy ich mnóstwo widzieli, lecz ograniczyć się musimy na opisie niektórych, dla braku miejsca.

Ślubna suknia biała faille. Spódnica oszyta falbaną, objętą pliską atłasową i skrojoną w wielkie okrągłe zęby, które następnie w wachlarze układane były; u falbany nagłówek podbity atłasem. Na przodzie od dołu, taż falbana cokolwiek wzniesiona. Tiunika z faille z plisą atłasową, ogarnirowana dwoma wolantami z brukselskiej koronki pół łokciowej szerokości, poniżej woda z illuzji. W tyle spódnica w puff ułożona z bardzo długim trenem, i ogarnirowana łokciowej szerokości koronkowym wolantem, który się znowu nad puff zawracał. Do około tyłu sukni pod wolantem, szeroka na łokieć buffa z illuzji. Stanik pod szyję nieco otwarty na przodzie, z karoczkiem w skrzydełka z boku, a w środku w wachlarz ułożony. Rękawy do łokcia przybrane falbaną z materji w wachlarz ułożonéj, pod nią zarękawki z zaplisowanéj illuzji i koronki. U szyi aż do stanu kreza z illuzyi, nakryta koronką z tyłu; na zakończeniu kokarda z morowéj wstążki z niezmiernie długiemi końcami. Od jednego boku wolant koronkowy podpięty prześliczną ślubną girlandą. Na staniku taka druga od ramienia aż do paska na ukos dana. Na drugim boku z białéj bardzo szerokiéj morowéj szarfy z frendzlą, zakończenie w wielki pukiel na dół spadający z dwoma końcami. Welon na głowę burnusowy z illuzyi, zarzucony na twarz i nad czołem, zebrany w fałdki do góry idące, przypięty wieńcem z jednego boku podniesionym, z bardzo długim trenem, na stanik z jednego boku spadającym.

Suknia dla siostry panny młodéj już zamężnéj. Suknia różowa z ciężkiéj materji, także z bardzo długim trenem. Przód ubrany w 5 buff w podłuż z nagłówkami; po obu stronach z białéj illuzyi, w pewnych przedziałach, od dołu szerszych, u góry zwężających się. Na bokach od przodu ku tyłowi 2 falbanki ćwierć łokciowe z materyi, w podłuż przyszyte takąż buffą z nagłówkami, z obu stron na 2 cale szerokiemi. Z tyłu od samego stanu z wolanta z brukselskiéj koronki łokciowéj szerokości, przyszytego po obu brzegach do wody, środkiem przemarszczonéj, z nagłówkami z materyi różowéj, ułożono w kształcie niby liścia, rodzaj płaszcza dworskiego do ziemi. Wolant ten koronkowy od jednego boku zawrócony w pasie do przodu, a z niego wytworzona tiunika w kształcie fartuszka. Stanik pod szyję z bawetem i baskiną, podpuszczony od pasa krezą z illuzji i koronki, która na plecach aż do stanu w zęby naszywane, przybraną była jednym wielkim spadającym na dół puklem z morowéj wstążki z bardzo długiemi końcami, z których jeden środkiem miał przyczepioną ukośnie kokardę z dwóch pukli i bukieciku róż ułożoną. Rękawy jak u poprzedniéj sukni. A teraz mamy przed sobą dwie suknie do Petersburga przygotowane, bardzo kosztowne.

Suknia z ciężkiej materyi koloru rose chair (cielisty) z nadzwyczaj długim trenem. U dołu do koła ćwierć łokciowéj szerokości woda z nagłówkiem atłasowa, także różowa, ale mocniejszego cieniu, nad nią wolant z brukselskiéj ślicznéj koronki na łokieć szeroki, oszyty do koła sukni w ślimak, na przyszycie którego plisa atłasowa; po niéj rzucane od niechcenia, wielkie fantazyjne węzły aksamitne z końcami koloru bordo, podbite cielistym atłasem. Stanik mocno wycięty z baskiną z przodu; z tyłu karoczek szeroki w fałdy układany, węższą koronką oszyty, na przodzie w ząb z tyłu na ukos do ramienia. Jeden bok sukni ubrany był aksamitnemi kokardami, a na drugim wolant w paru miejscach podtrzymany był wielkiemi bukietami z róż cielistych z bluszczowemi liśćmi i pączkami Wolant do téj sukni kosztował 1000 rs. W kokardy miały być wpinane brylanty. Na głowę ubranie z aksamitu bordo z wieńcem róż i bluszczu z egretką na przodzie, z blado i ciemno różowéj eryki czyli wrzosu.

Suknia niebieska jedwabna. Spódnica garnirowana niebieskim tiulem, z którego dana była u dołu buffa do koła idąca. Na to płaszcz dworski bardzo długi na tren spadający, ogarnirowany brabancką koronką łokieć szeroką, z niéj po bokach odwijające się niby klapy. Na przyszycie wolanta buffa tiulowa przemarszczona i przepinana węzłami ze wstążki niebieskiéj i bukietami z róż na przemian. Przód sukni ubrany tąż samą koronką i plisowaniem tiulowem w guście fartuszka. Stanik do gorsu z baskiną z tyłu w fałdy ułożoną. Na głowę wieniec z róż z pysznem piórem. Wolant do téj sukni prawdziwy brabancki kosztował 3000 rs.

W magazynie panien Kuhnke obok tych kosztowności, wykonanych na obstalunek, przygotowano i skromniejsze toalety, dla osób mniéj zamożnych lub nie smakujących w zbytkowych strojach, albo stosujących się do maksymy: „podług stawu grobla", a więc można dostać gotowe tarlatanowe suknie zacząwszy od 15 rs. gustownie i starannie odrobione.

Podobały nam się tutaj opaski na szyję tak do gorsowanych sukien, jako i do pół otwartych. Aksamitka czarna 2 cale szeroka naszyta we dwa rzędy drobniutkiemi dzwoneczkami złoconemi, z jednym końcem na przodzie podobnież zakończonym, zapina się dość ciasno jak obróżka na szyi. Cena tej którąśmy widzieli była 5 rs. kop. 55.

Podobna z naszyciem stalowych gwiazdek i z końcem oszytym frendzelką stalową, ale nie z paciorków. Na głowę takaż kokarda przepięta stalową egretką rs. 5 kop. 70.

Inna z przepinkami z dżetu z krzyżem dżetowym, na głowę kokarda z dżetową klamrą rs. 4 kop. 50.

Ubranie na głowę ze wstążki rypsowéj 4 cale szerokiéj czarnéj i różowéj, rozpoczynające się nad czołem kokardą w poprzek ułożoną z pukielków i końców wysiepanych, na pół ćwierci łokcia z mięszanéj wstążki, imitowało niby piórka. Kokarda ta przytwierdzona jest na agremanie do opaski, ułożonéj z kontrafałdowanéj wstążki czarnej i zakończone z tyłu głowy dwoma końcami dość długiemi różowym i czarnym. Cena rs. 4 kop. 50.

Różno-kolorowe kokardy mięszane, pod kołnierzyki i na głowę z wązkich wstążek, zaczynają być modnemi.

Z okryć na wejścia do sali, czyli narzutek dla starszych dam, najwięcej używane rotondy zacząwszy od koronkowych, skończywszy na gronostajowych.

Kwiaty noszone w rozmaitych ułożeniach, wieńce do koła głowy, diademy, girlandy otwarte z trenami. Pióra bardzo też wchodzą w użycie do ubrania balowego.

Znając dobry gust Pana Aleksandra Lipink na Nowym-Swiecie, bardzo w swoim fachu uzdolnionego fryzjera, dowiedzieliśmy się, że obecne uczesanie głowy, mało się różni od zeszłorocznego. Z przodu stosownie do twarzy, najwięcej się ubiera w odwracane krótkie nioby, z tyłu szynion ułożony z warkoczy z lokami. Takich gotowych bardzo lekkich koków można tutaj dostać od 12 do 20 r. sr. Do bardzo strojnej toalety zawsze najlepiej ubiera kok z loków i kokard ułożony. Rozplatane włosy i karbowane wychodzą z użycia.

Ponieważ dotąd nic nie wspomnieliśmy o ubiorach dla dzieci, bo naszem zdaniem nie należy rozbudzać w te młodocianne umysły zamiłowania do mody, wypada wszakże nadmienić o koniecznych potrzebach. dla tego też udaliśmy się w tym celu do pana Winklera przy ulicy Niecałej. Znaleźliśmy tu wielki dobór, różnego rodzaju ubrań i dla różnego wieku.

I tak garnitur z kortu dla chłopczyków od lat 3 do 10, francuzkim fasonem, w różnych kolorach od ceny 6 sr. do 12. Angielskie z bluzką także kortowe, tyrolskie, marynarskie tej samej ceny.

Paltociki z grubej syberyny, bekieszki szamerowane z barankami; cena r. sr. 7 do 15.

Sukienki wełniane dla chłopców od 1go roku do 3, szkockie i gładkie od r. sr. 3 i pół do 4 i pół, Welwetowe do 9. Dla starszych do lat 14 znajdują się garnitury cywilne i studenckie, paltoty watowane i szynele.

Sukienki dla dziewczynek od lat 3 do 10 w cenach od 4 r. sr. do 12 rs. różnych fasonów i z różnego materjału. Paltociki z pluszów, i miękkich syberyn, wyrównywające ciepłu waty, a nawet futra, w różnych kolorach od 5 do 14 r. sr. Żakietki bardzo zgrabne od 5 r. sr. Mufeczki z imitacyi baranka i takież bereciki. Salopki watowane od ceny 6 i pół r. sr. z ładnych materjałów. Kapturki czarne i kolorowe ozdobione nad czołem kokardkami od ceny 4 rs.

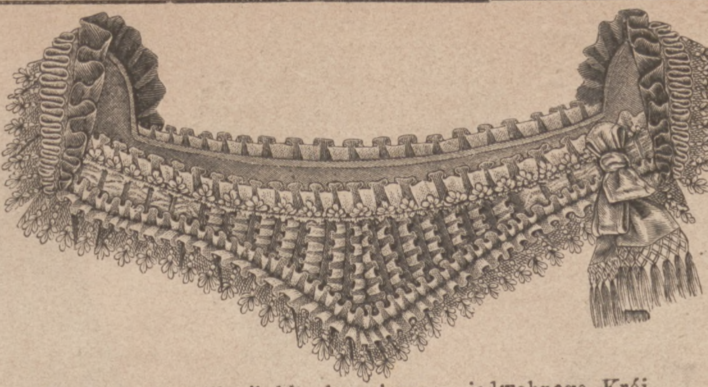
Przyjaciela dzieci N. 2 wyszedł z druku.

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz,



N. 1. Berta z illuzji, blondyny i rypsu jedwabnego. Krój w dodatku N. XIV, fig. 42.



N. 2. Kapturek z chustki robionej na drutach. Przód patrz ryc. 3.



N. 3. Kapturek z chustki robionej na drutach. Patrz ryc. 2.

W rzędzie 14 zaczyna się szlaczek, który odrobiony jest o. śc., dwiema nitkami i w dwóch kolorach. Przy robocie jedną nitką, druga przeprowadza się od spodu, aż do potrzebnego miejsca. Po skończeniu szlaczka i górnej części sakiewki po nad niem, w której gwiazdki dane są w zęby, jak to widać na ryc. 22, przerabia się w jednym ciągu 25 rzędów, zajmujący otwór do wkładania pieniędzy, robiąc tam i napowrót 1 sł. i 1 o. powietrzne. Po skończeniu 25 rzędu, następuje druga połowa sakiewki, licząca 68 rzędów i zaokrąglona u dołu. Odrobiwszy 41 rzędów, z deseniem idącym w zęby, zaczyna się gubienie, które dokonywa się w każdym rzędzie gładkim, opuszczając 1 o. z sześciu stanowiących odstępy, tak iż po przerobieniu 14 rzędów, z sześciu o. pozostaje tylko jedno. W trzech ostatnich rzędach zagubia się tak, iż pozostaje 1 o. do zakończenia. Okrągła połowa sakiewki ozdabia się kordonkowym kwaścikiem, prosty zaś brzeg w drugiej połowie, obrabia się 1 rzędem sł., o. pow., do



N. 4. Gorsecikowa chusteczka z koronkową szmizetką. Patrz ryc. 5. Krój w dodatku N. V, Fig. 12.

zwierzchnią stronę o. przedostatniego rzędu, pętelkę i zrabia 1 o. pow. wraz z dwoma nitkami, zatrzymanemi poprzednio na szydełku. Jeszcze jedna pętelka, odrobiona w powyżej podany sposób, i przerobiona 1 o. pow. składa dolną połowę listka, górna wykonywa się tak samo, odrabiając następne rzędy.

N. 28. Szydełkowy kołnierzyk z koronkową wstawką.

Środek kołnierzyka stanowi 1 cent. szeroka fabryczna wstawka, zakończona pikotami, którą obrabia się w około sł., rozdzielonemi 1 o. powietrznem. Obrabiając brzegi, robi się co dwa sł. * 1 o. śc., 1 p. (złożony z 4 o. pow. i jednego śc. w pierwsze) 1 o. śc. 2 o. pow., 3 p. i 3 węzły nawijane, zajęte



N. 6. Kliniasta sukienka dla dziewczynki od lat 2—3. Krój w dodatku N. VIII. Fig. 16—19.

których przywiązana jest następnie jedwabna frendzla. Rycina 23 i 26 podają wzór i wykonanie odmiennej szydełkowej roboty, z tłem w listki. Tło zwane pikowem, powstaje przez zajmowanie 1-go o. śc. za całe o. poprzedniego rzędu, a drugiego tylko przez tylną połowę następnego oczka. Każdy drugi rząd obejmuje już listki, dane w odstępach 5 oczek. Skoro nitka zarzucona jest na szydełko jak przy robocie sł. przewłóczy się przez



N. 5. Gorsecikowa chusteczka z koronkową szmizetką. Patrz ryc. 4.



N. 7. Kliniasta sukienka. Plecy do ryc. 6.

w o. zamykające trzeci pikot.

Węzeł powstaje gdy nawiniemy 6—8 razy nitkę na szydełko (tak jak na sł.) przewleczemy przez wszystkie nitki 1 pętelkę i przerobimy 1 o. ścisłem. Powtórzyć od *. Od góry dodany jest jeszcze jeden rząd krótkich słupków.

N. 29. Kołnierzyk z plecionką mignardise.

Przy wykroju szyi przerabia się 1 o. śc. w każdy p. plecionki, rozdzielane 1 o. powietrznem. Brzeg dolny zawiera w pierwszym rzędzie listki podłużne, złożone z trzech pod. sł. łączonych w sposób tunetański; u dołu zajmowane w 1 p. opuszczając dwa, a od góry rozdzielane 6 o. powietrznemi. W drugim rzędzie na ząbkach rozdzielających listki, przerabia się 2 o. śc. 3 p. rozdzielane 2 o. śc. i 2 o. ścisłe. Pikoty tworzą się gdy w oczko które ma być zakończone pikotem, przerobimy 1 o. pow., wyjmiemy szydełko z piętelki ⅛ centy. dłuższej i tę pętelkę przeprowadzimy znów przez o. główne, w miejscu z którego pikot wychodzi. Ząbki trzeciego rzędu liczą 1 o. śc. i 14 o. powietrznych. W czwartym rzędzie robi się na każdy ząbek 2 o. śc. 4 p. rozdzielane 2 o. śc. 2 o. śc. i 3 o. powietrznemi.

N. 30. **Szlak** do kaftaników, vêtement i t. p.

Szlak taki odpowiedni do przyozdobienia sukien, okryć, kaftaników, jako też do lambrekin przy koszyczkach, półeczkach lub stolikach, wyszywa się jedwabiem ściegiem łańcuszkowym lub sznureczkowym, kordonkiem tegoż co tło, lub odmiennego koloru. Pod liście można poddawać, materjał ciemniejszy.

N. 31. Worek podróżny. Deseń w dodatku.

N. 32—34c. Postument do zegarka opis i krój w dodatkach.

N. 35. **Ramki** do fotografji.

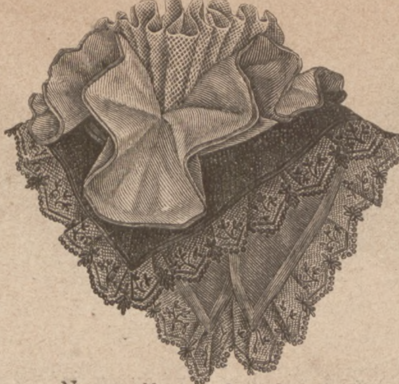
Mozajka z nasion leśnych.

Robotę taką opisywaliśmy już wielokrotnie w Tygodniku, jest więc już znaną naszym czytelniczkom. Do mniejszych ramek dostatecznem będzie dopasować podstawę z tektury i na niej układać mozajkę; przy wykonaniu większych konieczna jest ramka drewniana, a na niej przykleja się lub przybija gwoździkami już wykończoną mozajkę.

N. 36—38. Opisy i kroje w dodatkach.



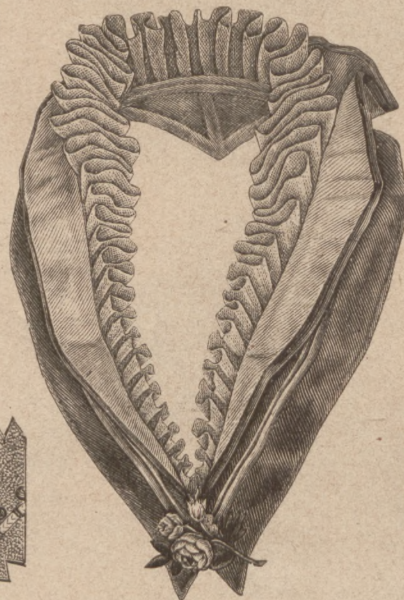
N. 8. Strojne okrycie na koncert lub do teatru. Krój w dodatku N. III fig. 8—9.



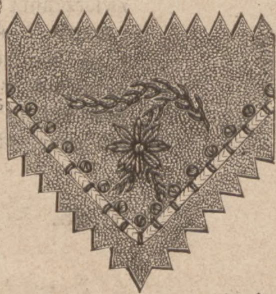
N. 11. Chusteczka z krezą. Patrz ryc. 19.



N. 9. Strojne okrycie na koncert lub do teatru. Plecy do ryc. 8.



N. 10. Chusteczka podłużnie wycięta z krezą. Krój w dodatku N. VI Fig. 13—14, Patrz ryc. 11.



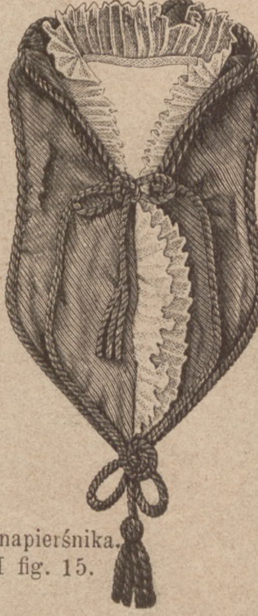
N. 14. Haftowana lambrekina do koszyczka ryc. 13.



N. 15. Haftowana lambrekina do ryc. 13.



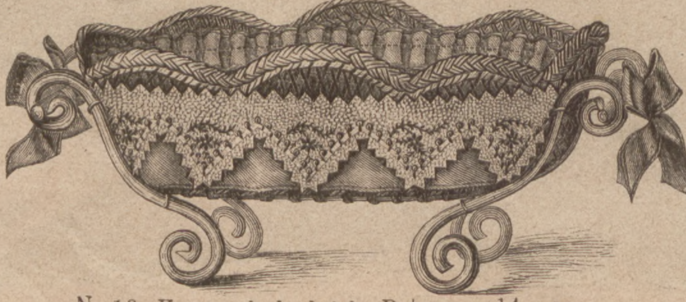
N. 16. Pasek z karoczkiem i kieszonką.



N. 12. Chusteczka formą napierśnika. Krój w dodatku N. VII fig. 15.



N. 17. Suknia z vêtement otwartem z przodu. Plecy do ryc. 2 w Nrze 1-m. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4a.



N. 13. Koszyczek do łyżek. Patrz ryc. 14—15.



N. 18. Ubranie spacerowe.

O ubiorach.

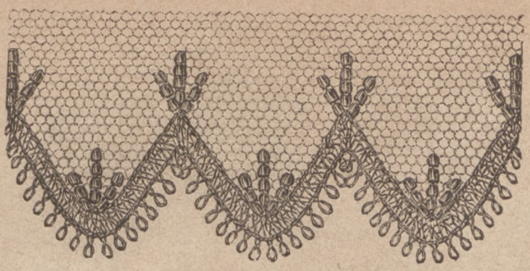
Korespondencja z Paryża.

Powstawano niezmiernie na zbytki w ubraniach za czasów cesarstwa, jednakże i teraz za rzeczypospolitéj nie wynaleziono sposobu do zaprowadzenia oszczędności i prostoty w dziedzinie mody. Przeciwnie, możnaby nawet powiedzieć, że wymagania wzrastają, dawne kostjumy dziś wydają się zbyt skromne dodano więc do sukni z tuniką, stanik, z baskiną, kamizelkę i okrycie dopełniające ubranie do wyjścia.

Co się zaś tyczy kapeluszy, to nigdy jeszcze nie były tak oryginalnemi jak obecnie.

Jednakże w tym chaosie mód nowych, a szczególniej wznowionych z różnych epok przeszłości, można wybrać rzeczy prawdziwie gustowne i ładne, chodzi tylko o umiejętne zestawienie wszelkich części toalety i zastosowanie się do form przyjętych, jak gdzie i w czem wystąpić potrzeba. Między innemi, wielkim błędem jest włożenie sukni powłóczystej, do wyjścia na ulicę, jest ona tylko odpowiednią do powozu. Dla osób zmuszonych modę łą-

czyć z oszczędnością, bardzo dogodne są suknie urządzone w ten sposób, iż dają się podnosić na ulicę, a opuszczać na pokoje. Takie suknie krają się o tyle dłużej, aby bufowały się lekko w górze, nawet po zupełnem opuszczeniu trenu. Podpinanie to szczególniej nadaje się do materji jedwabnych, lub miękkich wełnianych jak np. kaszmir, wigoń, diagonal i t. p.



N. 19. Zakończenie z tkanemi pikotami i perełkami do woalek chusteczek, bert, i t. d.



N. 20. Sukienka dla chłopca. Krój w dodatku N. IX, Fig. 20—22.

Pół aksamity i sukna odpowiednie są głównie na kostjumy do wyjścia na ulicę, które powinny tylko sięgać ziemi; do ubrania domowego są one za ciężkie. Na wizyty etykietalne lub do przejażdżki w powozie używają się suknie długie, podnoszone, w kolorach bardzo ciemnych dopełnione okryciem.

O ile suknie spacerowe i wizytowe modne są ciemne, to znów przeciwnie, do toalet wieczorowych, potrzeba dobierać kolory żywe i świetne. Jasne suknie z grenadiny, lub walencji, są lepsze nawet od jedwabnej czarnej, posępnie wyglądającej na wieczornych zebraniach. Jakkolwiek jasne jedwabne materje i fulary najwięcej są noszone, to jednak dla młodych osób można wykończyć bardzo ładne i gustowne toalety na wieczorki z alpagi, walencji lub innego lekkiego materjału.

Skromne toalety przyozdabiają się niezmiernie dodaniem pod szyją sutych krez, riuszy i garnirunków tak modnych i niezbędnych w tym roku. Dubeltowa riusza z illuzji, tiulu



N. 22. Szydełkowa sakiewka. Patrz robotę ryc. 25—26.

które można zastąpić także agrafką, modne są owalne lub kanciaste, więcej szersze niż wysokie, pozłacane, matowe brązowe, srebrne oksydowane, metalowe lub dżetowe. Moda wymaga aby klamerka odpowiadała broszy i kolczykom.



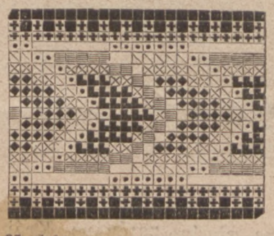
N. 21. Sukienka dla chłopca. Przód do ryc. 20.

W noszeniu szarf zaszła ta zmiana, iż paski z szarfami nie zapinają się z boku jak dotychczas, ale z tyłu, na wcięciu stanu. Szarfy boczne podtrzymujące bufy spódnicy, łączą się za pomocą sznurów jedwabnych lub wstążki z kokardą przypiętą na ramieniu. Do sukni w dwóch cieniach lub kolorach, szarfa układa się z materji dubeltowej ciemniejszej i jaśniejszej, lub zwierzchu i od spodu innego koloru odpowiedniego kolorom, mięszanym w sukni.

Teraz przejdźmy do ważnych szczegółów tyczących się czesania włosów. Niezmierna rozmaitość widoczna w toaletach, panuje także w czesaniu włosów. Nie można dziwić się tysiącznem przemianom i zastosowaniom, gdyż wiadomo czytelniczkom o ile dobre uczesanie podnosi wdzięk każdej kobiety. Chociaż obecnie moda zmusza do podnoszenia włosów wysoko, to jednak wysokość podniesienia powinna być zastosowaną do rysów twarzy i długości szyi.

Uczesanie włosów trzeba koniecznie, zastosować do fizognomij nie zaś ślepo trzymać się mody, co może być dobrem tylko dla klasycznych piękności. Wypisujemy więc kilka uwag



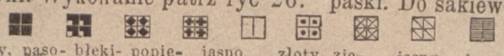


N. 27. Szlaczek do sakiewki ryc. 22.



N. 23. Szydełkowe tło do sakiewki. Wykonanie patrz ryc 26.

N. 24. Szydełkowe tło w paski. Do sakiewek.



czarny, pąsowy. błękitny, popielaty. jasno popielaty złoty. zielony. jasny zielony. brązowy.



N. 28. Szydełkowy kołnierzyk z koronkową tasiemeczką.



N. 29. Szydełkowy kołnierzyk z plecionką mignardise.

lub crêpe lisse, otaczająca w około szyję, lub opuszczająca się przy podłużnym wykroju, podtrzymana riuszą z wstążki i zapięta kokardą ze wstążki i tiulu, niezmiernie zdobi młode osoby. Chusteczki i pelerynki gazowe, tiulowe, lub muślinowe, ciągle są używane przy toaletach do teatru, na koncerta lub wizyty wieczorne.

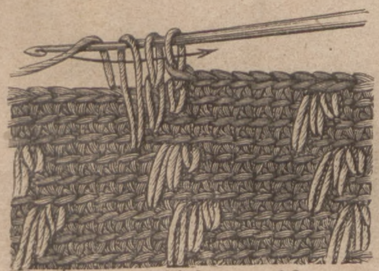
Po kilku latach zupełnego zapomnienia, znowu powróciły do mody paski rypsowe jedwabne, zapinane klamrą i stanowią nowość, rozpowszechniającą się bardzo między elegantkami. Szerokość takich pasków dochodzi od 4 i pół do 5 centymetrów; zapinają je na stanikach z baskiną i polonezkach i dobierają do koloru sukni lub przybrania. Klamerki,



N. 30. Szlak wy[...]kiem do kaftai[...] szyty łańcuszków i t p.

które czytelniczki nasze pewno z zajęciem odczytają. I tak: włosy, blond można karbować drobno, krepować i fryzować, ciemne, należy fryzować tylko w szerokie karby, układać w loki angielskie lub długo spadające „repentirs“. Czarne włosy powinny być gładkie i świecące, nastroszenie wcale im nie pasuje.

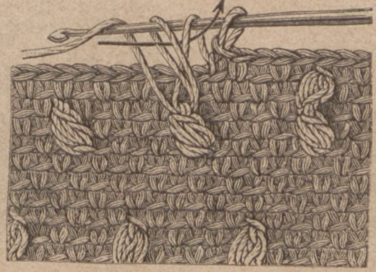
Grube warkocze upięte w około głowy nadają wyraz łagodny i pociągający. Włosy odczesane w górę i lekko wzniesione po nad czołem, do niektórych rysów są dość odpowiednie, ale przy ostrych lub wystających fizognomjach zupełnie nie uchodzą. Do twarzy owalnej przy wysokiem czole, można włosy opuścić na czoło w drobnych, karbowanych loczkach à la Titus. Grube warkocze przy-



N. 25. Wykonanie tła w muszki do ryc. 22.



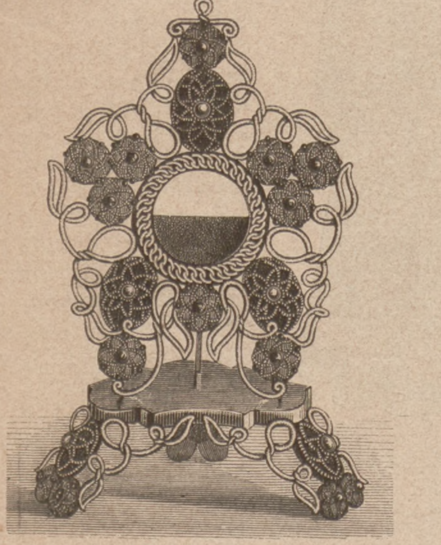
N. 31. Torba podróżna ozdobiona haftem. Deseń w dodatku Fig. 94—95.



N. 26. Wykonanie tła w listki do ryc. 22.

pięte nie wysoko i nie nazbyt nasunięte do przodu, po za loczkami nad czołem o jakich wspomnieliśmy wyżej, wyglądają ładnie i poetycznie.

Do codziennego ubrania najlepiej zapłatać włosy w warkocze, dodając kre-



N. 32. Postument do zegarka ozdobiony perełkami. Patrz ryc. 33—34c. Krój podstawy w dodatku N. XI, fig. 24—25a.

piny lub szyniony w razie potrzeby. Między zręcznie upięte warkocze wpina się grzebień szyldkretowy, wyższy lub niższy stosownie do upodobania.



N. 36. Kamizelka skośno zapinana. Krój w dodatku N. IV, fig. 10—11.

Dwie kokardy: jedna z przodu z lewej strony, druga zupełnie z tyłu głowy, poniżej warkoczy, używane są do mniejszego ubrania. Na wieczory kokardy zastępują się skromną gałązką lub paru, pojedynczemi kwiatami; do balo-



N. 35. Ramki. Mozajka leśna.

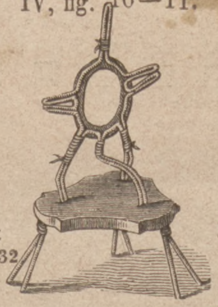
wego ubrania modne są dla mężatek kwiaty i pióra, dla panien okrągłe wianeczki, lub sute, spadające gałązki.



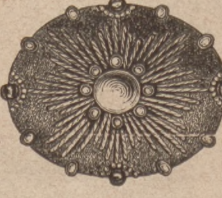
N. 37. Suknia poranna z fałdami na plecach, Przód ryc. 38. Krój i deseń w dodatku N. VII, fig. 27—33.



N. 34a. Duży guzik do postumentu ryc. 32.



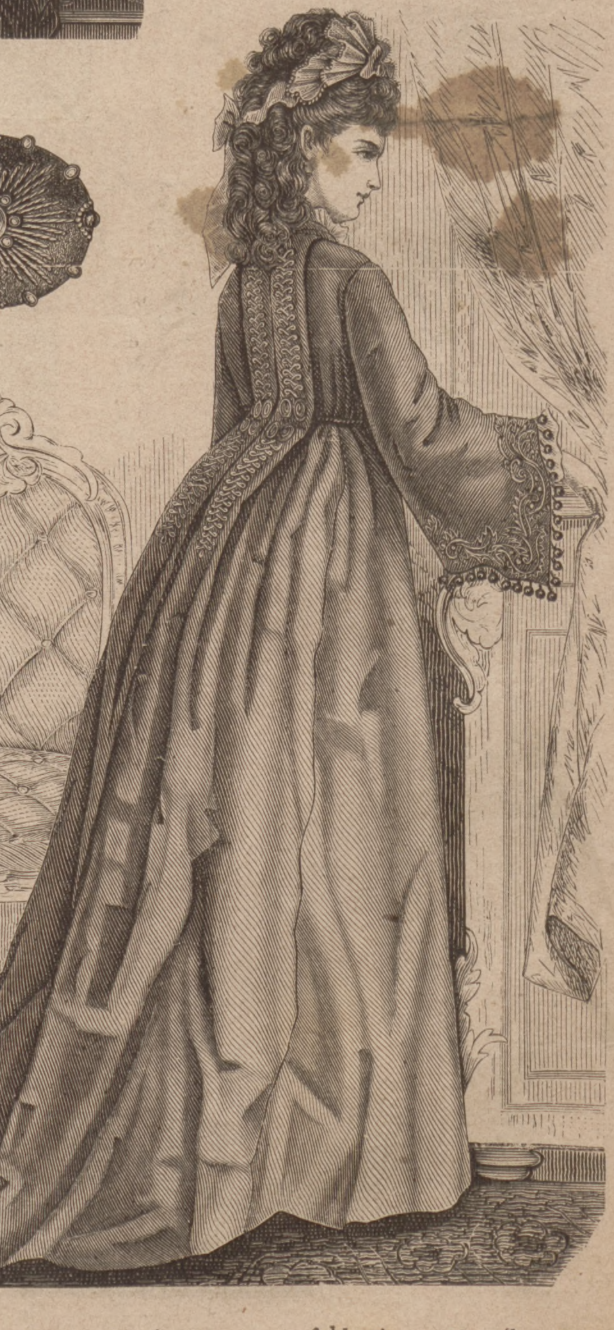
N. 33. Podstawa do postumentu ryc. 32.



N. 34c. Ozdobny guzik do postumentu ryc. 32.



N. 34b. Mały guziczek do ryc. 32.



N. 38. Suknia poranna z fałdami na plecach, Przód patrz ryc. 37.